Ewa wzywa 07...



Izabela Gierszewska

SZATAN BOI SIĘ MYSZY

30 lat Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Izabela Gierszewska

SZATAN BOI SIĘ MYSZY



ISKRY · WARSZAWA · 1974

Kilian zbudził się z przykrym uczuciem niepokoju. Za oknami wciąż huczał wiatr, uderzał w szyby okien, napierał z furią na dom. Gdzieś na dole tłukły się o framugę nie zamknięte drzwi. Powoli napływały do jego świadomości fragmenty zdań, strzępki rozmów, aż przypomniał sobie wczorajszy wieczór i rozmowę z siostrzeńcem. Zaciskając gniewnie wargi odrzucił na bok kołdrę i spuścił nogi z łóżka. Naciągnął na siebie szlafrok i zerknął na sąsiednie łóżko. Lidka spała jeszcze. Jej nakremowana wieczorem twarz, nabrzmiała od snu, była prawie brzydka. Z niechęcią odwrócił oczy. Cicho wysunął się z małżeńskiej sypialni i zszedł na dół po skrzypiących schodach. Była dopiero piąta rano, kiedy już ubrany, umyty i ogolony wszedł do izdebki swego pracownika Grybiera. Stary kończył właśnie śniadanie i omal nie udławił się kęsem chleba zobaczywszy go w drzwiach. Zerwał się od stołu i stanął po żołniersku na baczność.

— Wiatr, cholera, jakby się kto powiesił — burknął Kilian gniewnie zamiast powitania.

Grybier milczał z szacunkiem.

— Zjadłeś śniadanie?

Stary kiwnął twierdząco głową.

— No to posłuchaj: pojedziesz zaraz na pocztę, poczekasz, aż ją otworzą, i wyślesz telegram. Tak to załatw, żeby nikt w domu nie dowiedział się o tym. Twarz na kłódkę, kapujesz?

— Jasne — powiedział Grybier i natychmiast począł wciągać na ramiona ciepłą kurtkę.

Kaflowy piec w jadalni intensywnie promieniował ciepłem, ale mimo to Albin w obawie przed przeziębieniem jak zwykle owiązał szyję wełnianym szalikiem.

Stary ciemięga — pomyślał Kilian lekceważąco.

Cala rodzina była już zebrana przy śniadaniu. Humor jednak nie dopisywał nikomu, chociaż w jadalni było ciepło, przytulnie, pachniało apetycznie kawą i świeżym pieczywem. Kazik siedział nad kubkiem kawy skrzywiony i blady, jakby miał dolegliwości żołądkowe, a ta mała Agnieszka, jego żona, była podobna do wystraszonego wróbla. Kilian obrzucił badawczym spojrzeniem wszystkie twarze. Wstał dziś trochę wcześniej niż zwykle, teraz poczuł apetyt i nie miał wcale ochoty, by rodzinka przeszkodziła mu w spokojnym zjedzeniu solidnego śniadania. Było dla niego jasne, że zostali czymś wyprowadzeni z równowagi, ale pal ich licho, ma prawo pożywić się spokojnie we własnym domu, a na rodzinne kwasy będzie jeszcze czas po śniadaniu. Na razie zdołał wyeliminować z myśli wczorajszy wieczór i umyślnie nie patrzył więcej na Kazika. Ta sprawa też może trochę poczekać. Nalał sobie kawy i poprosił o masło. Solidny kawałek cielęciny na zimno, obrzeżony przezroczystą, żółtawą galaretą przyciągnął jego uwagę. Ślinka napłynęła mu do ust.

— Jasiu! Ja ci muszę o tym powiedzieć! — głos pani Lidki zabrzmiał wysoką, histeryczną nutą.

— Bądź tak uprzejma i podaj mi cielęcinę — powiedział nie zwracając uwagi na jej słowa i wpatrując się pożądliwie w mięso. Wyciągnął rękę po półmisek.

Pani Lidka spełniła prośbę męża marszcząc brwi. — Jasiu.

— Chrzan!

Podała chrzan ze łzami w oczach.

— Janku, Zofia wyjechała!

— Krzyżyk na drogę — wymamrotał z pełnymi ustami.

Lidka z Ludwiką wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

— Zofia prowadziła cały dom — przypomniała Lidka.

— Widocznie teraz znalazła sobie przyjemniejsze zajęcie — odparł beztrosko.

Albin zachichotał. Kilian rzucił Ludwice drwiące spojrzenie. — Kłóciłyście się?

— Nikt nie powiedział jej złego słowa.

— Zabrała rzeczy?

— Tak.

— To jest bardzo dziwne, wujku! — do rozmowy wtrąciła się Agnieszka.

Kilian westchnął boleśnie.

— Czy wiecznie musicie mi zawracać głowę waszymi babskimi sprawami? — Odsunął od siebie talerz.

— Mnie się to nie podoba, wujku, że Zofia wzięła rzeczy i nikt nie widział, kiedy wyszła z domu.

— Czy rzeczywiście nikt tego nie widział? — zdziwił się.

— Nikt.

Kilian powiódł po zebranych podejrzliwym wzrokiem. — Hm, co to znowu za historia! — pomyślał nagle zaniepokojony. Na dobre zapomniał o śniadaniu. Coś mu przyszło na myśl. — Może Grybier podrzucił ją do miasta wozem? Nie widzieliście dzisiaj rano Grybiera?

— zapytał z przekornym błyskiem w oczach.

— Ależ tak! — zawołała Ludwika. — Widziałam go dzisiaj rano. Kogoś wiózł.

— Co ty powiesz? Brał wóz bez mojej wiedzy? O której to było godzinie?

Ludwika zaczerwieniła się. — Czy ja wiem? Może to nie było dzisiaj? — zaczęła się wycofywać.

Kilian roześmiał się szyderczo. — Stara kłamczucha — pomyślał. — W każdym razie należy to sprawdzić — powiedział głośno. — Pogadam z nim po śniadaniu. — Zapalił papierosa. — Okropna z nas rodzina — zauważył. — Mówicie,

że nie było żadnej awantury i raptem Zofia wymknęła się z domu, ukradkiem, jak złodziej. Musiałyście zalać jej porządnie sadła za skórę.

— Mówiłam ci, Ludwiko, że on będzie zaraz myślał Bóg wie co — westchnęła Lidka.

— A ty, Albinie? Nie wiedziałeś o tym, że Zofia ma zamiar wyjechać?

Albin poprawił szalik mrugając powiekami. — Nie, nie interesowałem się tym, co porabia Zofia. Ostatnio źle się czuję. Jak wreszcie przyjedzie ten twój lekarz, Lidko, muszę się go poradzić. Coraz częściej miewam bóle głowy. To może być niebezpieczne. Wiele chorób zaczyna się właśnie w ten sposób...

Ten wiecznie to samo — skrzywił się Kilian.

Pani Lidka wstała i podeszła do Agnieszki. — Ty chyba niczego nie zauważyłaś? — zapytała obejmując ją.

— Widziałam Zofię wczoraj wieczorem w kuchni. Poszłam tam przed dziesiątą napić się mleka. Zofia nie wyglądała na osobę, która ma zamiar uciec od nas potajemnie, to chyba nie było w jej stylu. Ja... ja... myślę, że mógł się jej przydarzyć jakiś wypadek.

— Co masz na myśli? — zdziwiła się pani Lidka.

— Czy ja wiem... nie wiem... Boję się czegoś. Ostatnio zrobiło się u nas nieprzyjemnie, jakby coś wisiało w powietrzu... coś złego...

— Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ta mała dostała histerii — rzekła cierpko Ludwika.

Kazik spojrzał na żonę z niepokojem.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak myślę. I ty, Kazik, zmieniłeś się, jesteś taki jakiś dziwny...

— Powinnaś mi była wcześniej powiedzieć, że gnębią cię

takie myśli. — Głos Kazika był przytłumiony zdenerwowaniem.

— O! Zanosi się na małżeńską scenę — powiedziała pani Lidka udając przerażenie.

— Dalibyście spokój! — Ludwika oparła się o poręcz krzesła. — Wracając do wyjazdu Zofii ja uważam, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Jest nadzieja że prędzej czy później ona napisze i cała sprawa się wyjaśni.

Kilian zamyślił się ponuro. — Coś niedobrego dzieje się w moim domu. Agnieszka ma rację. Zofia w gruncie rzeczy mało mnie obchodzi, to przecież kuzynka Lidki, ale ponieważ zamieszkała u mnie. ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Dobrze zrobiłem, że wysłałem telegram do Stanisława. Kazik od pewnego czasu coś knuje, teraz zniknęła Zofia i, trzeba przyznać, w dość zagadkowy sposób... Czyżby wyjazd Zofii miał jakiś związek z podejrzanym zachowaniem Kazika? Pokłócili się? Obraził ją? Nie, to nie powód do ucieczki. Przyszłaby raczej do mnie na skargę. — Kilian począł bawić się zapalniczką.

— Naprawdę nie dokuczaliście Zofii? — zapytał raz jeszcze.

Pani Lidka wzniosła oczy ku górze. — Jesteś niemożliwy! Mam absolutnie czyste sumienie! Wiesz przecież, jaka ona była. Wpadła biedaczka w dewocję i w związku z tym wiele rzeczy nie podobało się jej. Cóż mogłam na to poradzić? Zofia miała poza tym kompleks ubogiej krewnej, a dostawała przecież od ciebie zupełnie przyzwoitą pensję za prowadzenie domu i mogła sobie zaoszczędzić ładną sumkę.

— Odeszła, trudno — powiedziała Ludwika. — Trzeba pogodzić się z niejednym przykrym faktem w życiu.

Młody mężczyzna, który przyjechał po południu do miasteczka, skończył właśnie obiad w restauracji „Nowoczesna", zapłacił i wyszedł na ulicę. Przy krawężniku

zatrzymała się akurat wolna taksówka. Młody człowiek wsiadł do wozu.

— Gdzie pan uważa? — zapytał kierowca naciskając starter.

— Aleja Manifestu Lipcowego 52.

— To niby do „klasztoru"?

— Do „klasztoru"? — zdumiał się pasażer.

Kierowca roześmiał się. — Zaraz widać, że pan nietutejszy. Ten klasztor to już ruina, panie, tylko tak się mówi, dla orientacji.

— Tam mieszka ogrodnik, prawda?

—No chyba, że mieszka. Mówią, że tam mnisi kiedyś byli, jak klasztor, ma się rozumieć, nie był jeszcze w ruinie. Moja szwagierka u nich w kuchni pracuje. Za kucharkę jest. Będzie pan u nich mieszkał?

— Tak.

— Oni tam mają dosyć miejsca, kamienica jest, jak się patrzy. Pan do pracy u ogrodnika?

— Lubię kwiaty — wyjaśnił pasażer krótko.

Kierowca ze zrozumieniem kiwną! głową. — Za to jest dobra forsa. Ma pan łeb! Zaraz będziemy na miejscu — powiedział po pauzie. — Za tamtym zakrętem zobaczy pan ruiny, a obok dom Kiliana.

Minęli zakręt. Zaczęto od nowa padać, wichura jakby spotężniała. Pasażer popatrzył z zainteresowaniem na miejsce, w którym miał do spełnienia pewne1 zadanie. Widok za szybą taksówki był raczej przygnębiający. Nad murami zrujnowanego klasztoru przepływały, gnane północnym wiatrem, ciężkie, ołowiane chmury. Ogołocone z liści drzewa rosnące w pobliżu ruin wyciągały ku niebu drżące, mokre gałęzie. Szmat czarnej, uprawionej ziemi ciągnął się od szosy aż po horyzont, okalał wzgórze 7. resztkami klasztoru i podchodzi! w pobliże ponurego domu z ciemnoczerwonej cegły. Z lewej strony budowli, w pewnej od niej odległości, znajdowała się duża cieplarnia, której wysoki

komin wypluwał w powietrze smugę żółtawego dymu. Dalej czernił się masą drzew jakiś zagajnik. Po prawej stronie stały solidne budynki gospodarskie otoczone równie solidnym ogrodzeniem. Skręcili teraz z szosy w boczną drogę wysypaną leszem. Dom by! coraz bliżej. Zatrzymali się wreszcie przed frontem budynku. Przybysz odprawił taksówkę i wszedł na schody przed frontowymi drzwiami. Nacisnął dzwonek.

— Kiedy mam przystąpić do pracy?

— Jako kto, jako pomocnik ogrodnika? — Kilian przymrużył lewo oko. — Jako syn mojego najlepszego przyjaciela jest pan na razie tylko miłym gościem.

Korcz uśmiechnął się. — Pana rodzina nie zna, przypuszczam., tego najlepszego przyjaciela?

Teraz roześmiali się obaj. Siedzieli w gabinecie Kiliana w wygodnych, krytych zieloną skórą, klubowych fotelach. Przed nimi, na okrągłym stoliku, stały kieliszki z koniakiem.

— Pana pracownik także jeszcze nic o mnie nie wie?

— Powiem mu przy najbliższej okazji, że będzie miał pomocnika.

— Umieram z ciekawości, jaki jest ten mój kolega.

— Grybier to człowiek całkowicie mi oddany — powiedział Kilian z naciskiem.

— Długo u pana pracuje?

— Cale życie. Pracował jeszcze u mego ojca.

— To dobrze. Może się przydać.

— Uważa pan sytuację za groźną?

— Nie wiem, Przekonamy się. I to chyba niedługo. — Gość Kiliana zapalił papierosa. — Nie jestem pewien, czy nie pominął pan czegoś ważnego opowiadając mi o sytuacji w pańskim domu.

Kilian żachnął się. — Skądże! Wyłożyłem panu wszystko, co sam spostrzegłem. — Zamyślił się ponuro.

Korcz obserwował ogrodnika spod przymrużonych powiek.
— Nie wymienił pan na przykład sumy, jaką pański siostrzeniec usiłuje od pana, hm, wydobyć — przerwał milczenie.

— Co? Ach, tak! Sto tysięcy! Ani grosza mniej!

Korcz gwizdnął. — No widzi pan! Przecież nie z ciekawości pytam o takie rzeczy. — Upił trochę złocistego płynu z kieliszka. — Powiedział pan, że pański siostrzeniec dziwnie się zachowuje, jest zdenerwowany, wieczorami gdzieś znika, zaniedbuje żonę, spotyka się z podejrzanym osobnikiem w pobliżu pana domu. A jaki jest w stosunku do pana?

— Co pan ma na myśli?

— Czy nie jest agresywny? Nie ucieka się do gróźb?

— Nie. Na razie nie.

— Jego zachowanie wskazuje na to, że znalazł się w jakiejś ślepej uliczce. W takich razach nawet przyzwoici ludzie okazują się niekiedy niebezpieczni. Zastanawiam się, jak daleko może posunąć się pan Kazio w osiągnięciu jemu tylko wiadomego celu. Sto tysięcy złotych to nie bagatela. Pan odmówił, a pański siostrzeniec zadaje sobie sprawę z tego, że danie mu takiej sumy leży w pana możliwościach... Czy pan trzyma większą gotówkę w domu?

— W sezonie letnim bardzo często, na wypłaty dla ludzi pracujących u mnie.

— A teraz?

— Aktualnie mam w banknotach tysiąc-złotowych trzydzieści tysięcy. Większe wpływy odsyłam do banku. Oprócz Grybiera pracuje u mnie teraz tylko dwóch ludzi.

— Gdzie pan trzyma te pieniądze?

— Tutaj, w gabinecie, w tej oto ogniotrwałej kasie.

Korcz obejrzał się. W rogu pokoju stała zgrabna, niezbyt duża pancerna szafka.

— Ona jest oczywiście zamknięta?

— Oczywiście. Czy pan podejrzewa, że Kazio... mógłby się

włamać?
Korcz spojrzał przeciągle na Kiliana.
— Zadaję głupie pytania — mruknął przygnębiony ogrodnik i przejechał dłonią po szpakowatej czuprynie. — Nie mogłem w żaden sposób wydębić z idioty, na co potrzebuje tych pieniędzy. Może się w końcu okazać, że przesadzam z moimi obawami. Zawróciłem głowę Staśkowi, przysłał tu pana...
Korczowi zrobiło się przykro. — Chciałbym, żeby tak było. — Pomyślał jednocześnie, że Kilian zaczyna mieć skrupuły. Szkoda by go było, gdyby ten siostrzeniec okazał się wyrzutkiem. Kilian wyglądał na przyzwoitego człowieka. — Czy ten osobnik, którego widział pan wczoraj po obiedzie w zaroślach, na skraju szosy, nie przypominał panu kogoś ze znajomych?
— Nie jestem pewien. Mam krótki wzrok. Stałem przy oknie w gabinecie, gdy raptem spostrzegłem Kazia, idącego z domu w kierunku szosy. Był tylko w garniturze, nawet nie włożył kurtki. Coś mnie tknęło, wybiegłem z domu i pognałem za Kaziem, trzymając się naturalnie w pewnej odległości od niego, żeby mnie nic spostrzegł. Gdy Kazik uszedł kawałek drogi szosą, zza kępy krzaków wylazł tam ten facet. Stanęli obaj na poboczu szosy t zaczęli rozmawiać. W ostatniej chwili udało mi się skryć za pniem przydrożnej topoli. Spotkanie trwało z pięć minut. Kazik musiał być bardzo podniecony, bo wymachiwał rękami jak szaleniec, raz nawet złapał tamtego gościa za ubranie na piersiach. Już myślałem, że będę świadkiem bójki. Jakoś nie doszło do tego i nieznajomy poszedł w kierunku miasta, a Kazik zawrócił do domu. Musiałem ukryć się za drzewem, żeby mnie nie spostrzegł.
— I tego samego dnia wieczorem poprosił panu o pieniądze?
— Tak. Jak pan przypuszcza, co to może być?
— Wygląda na to, że pański siostrzeniec wpadł w ręce

szantażysty. Musi mieć coś niebagatelnego do ukrycia...

Napięcie widoczne na twarzy Kiliana zelżało. — Kazik jest studentem ostatniego roku politechniki. Ma bardzo dobrą opinię na uczelni, jest zdolny i pracowity. Dlatego właśnie przymknąłem oczy na jego wczesne małżeństwo i pomagam mu materialnie, dopóki nie stanic na własnych nogach. Niestety, nie mam własnych dzieci. Ten chłopak do tej pory nie przysparzał mi żadnych kłopotów. Bardzo kc*- cha żonę. Absolutnie wykluczam jakieś kryminalne sprawy, w których mógłby brać udział.

— Wiec w końcu o co panu chodzi, po co była ta depesza?

Kilian uśmiechnął się przepraszająco. — Nic rozsądnego nie mogę panu powiedzieć w związku z Kazikiem. Po prostu boję się o tego szczeniaka.

— Nie może go pan przekonać, żeby wyjawił prawdę? Chyba nie odmówi panu wyjaśnień, na co mu potrzebne takie pieniądze. — Korcz z trudem ukrywał rozdrażnienie.

— Próbowałem. Nic to nie dało. Wczoraj wieczorem omal nie wymówiłem mu domu. Doszło do wielkiej awantury. Mam już tego dość. Nie chce, niech nie gada. Ja forsy tak w ciemno nie dam.

— Czy ktoś w tym domu wie, że pański siostrzeniec domaga się od pana pieniędzy?

— Nie. Prosił mnie o dyskrecję.

— Jego żona też nie jest wtajemniczona?

— Nie. Zależy mu ogromnie na tym, aby Agnieszka o niczym nie wiedziała.

Korcz zaczął przechadzać się po pokoju. — Gdyby pan Kazio chciał sprawić żonie prezent za sto tysięcy, to nie ukrywałby tego przed panem, bo i po co? Podejrzewam więc, że nasz młody żonkoś jest wplątany w jakieś ciemne sprawki. A teraz następna zagadkowa historia: zniknięcie pańskiej kuzynki. Czy ona miała jakieś oszczędności?

— Chyba tak — Kilian spojrzał bystro na Korcza i roześmiał

się nagle. — Nio miała jednak stu tysięcy!

— A ile?

— Za mało dla Kazia.

— Pomówmy poważnie.

— Cały czas mówię poważnie. Nagły wyjazd Zofii jest niepokojący. Nawet Agnieszka, żona Kazika, wyczuwa ostatnio coś groźnego w atmosferze naszego domu.

— Ostatnio, to znaczy od jak dawna?

— Mniej więcej od tygodnia. Tylko że to narasta z każdym dniem.

— Atmosfera... Nie mógłby pan dokładniej sprecyzować, na czym to polega?

— Mam oczywiście na myśli domowników. Są dziwnie zdenerwowani, napięci.

— Hm. Wszyscy? To dziwne. Mówił pan tylko o zachowania swego siostrzeńca. Powiedzmy, że jego zdenerwowanie mogło udzielić się Agnieszce, ale reszta? Nie biorą chyba udziału w kłopotach młodej pary.

— Nie. Nikt się do nich nic wtrąca. Myślę, że przykra atmosfera w naszym domu ma raczej związek z Zofią.

— Dlaczego pan tak uważa?

Kilian westchnął. — Mam za dużo kobiet w domu. Chociaż moja żona zapewnia mnie, że nie dokuczyły Zofii, nie bardzo w to wierzę. Nie ma dymu bez ognia. Zmartwienia podobno chodzą parami — dodał z goryczą. — Nie dość, że mam kłopot z Kazikiem, teraz jeszcze doszła sprawa Zofii. Była dziwaczką, ale co za świetna gospodyni!

— Na czym polegało jej dziwactwo?

— Miała przesadne pojecie o grzechu, cnocie i tnk dalej.

— To krewna pańskiej żony?

— Tak.

— Hm. Jeśli dobrze rozumiem, była religijna?

— Religijna to za słabe określenie. Miała manię religijna.

— Czym się ona objawiała?

— Każda wolną chwilę spędzała w kościele, a gdy pogoda nie dopisywała, trawiła wolny czas na modłach w swoim pokoju. Miała, co ciekawe. Biblię, której żaden wiejski proboszcz by się nic powstydził. Taką ogromną, grubą księgę w czarnej cielęcej oprawie.

— Hobby raczej nieszkodliwe?

— Naturalnie, że nie. Było natomiast gorzej, gdy wtrącała się do stylu życia mojej żony czy innych kobiet. Na tym tle dochodziło czasem do krótkich spięć. — Kilian machnął ręką. — Ot i masz pan całą aferę.

Korcz zmarszczył w namyśle brwi. — To nie jest takie proste. Z tego, co pan mi już wcześniej powiedział, wynikałoby, że pani Zofia opuściła pański dom albo wczoraj późnym wieczorem, albo dzisiaj bardzo wcześnie rano. Nikt z domowników rzekomo nie zauważył jej wyjazdu, ani nawet nic wiedział, że ma zamiar wyjechać Coś mi się tu wydaje niejasne. Pierwsze pytanie: czy miała gdzie wyjechać?

Kilian przez moment milczał zaskoczony. — Ona oprócz mojej żony i Ludwiki nie ma żadnej rodziny ani nawet znajomych, u których mogłaby zamieszkać. Dlatego moja żona przyjęła ją do nas. Zofia nie chciała być na łaskawym chlebie, więc powierzyłem jej obowiązki zarządzającej domem. Płaciłem jej pensję.

— Gdzie mieszkała, zanim przybyła do państwa?

— Nie mam pojęcia. Jakoś nie interesowałem się tym. Musi pan porozmawiać o tych sprawach z moją żoną.

— Czy miała jakąś rentę, emeryturę?

— Miała niewielką emeryturę

— Rozumiem. A pańska małżonka? Jakie jest jej zdanie na ten temat? Nie podsunęła panu żadnej sugestii, dokąd ta samotna krewna mogła się udać?

— Nie. Lidka sama gubi się w domysłach. Przypuszcza, że Zofia napisze list z wyjaśnieniami.

— Tak przypuszcza? — Widać było, że Korcz myśli o czymś

intensywnie. — No dobrze, mamy już pierwsze pytanie bez odpowiedzi. Jedźmy więc dalej. Mówił pan, że pani Zofia miała sporo rzeczy. Ktoś więc musiał ją odwieźć na stację. Nie poszła przecież pieszo z bagażami. Zauważył pan ślady jakiegoś pojazdu przed domem?

— Nie. Żadnych. Owszem, są ślady kół mojego volkswagena. Grybier jeździł dzisiaj rano na pocztę.

— Grybier jej nie zabrał?

— Wykluczone. Pytałem go już o to. Nie ukryłby takiej sprawy przede mną.

— Zgoda. Przyjmijmy, że nie wyjechała pańskim wozem. Czy mogła zamówić telefonicznie taksówkę? Gdzie pan ma telefon?

— Tutaj. Na moim biurku.

— Innego aparatu w domu nie ma?

— Nie.

— Na postoju taksówek jest telefon?

— Jest.

— Więc pani Zofia mogła zadzwonić po taksówkę?

— Mogła. — Kilian uderzył się nagle dłonią w czoło. — Cholerny świat!

— Co się stało?

— Rano Zofia nie mogła wyjechać!

— Dlaczego?

— Wstałem dzisiaj o wpół do piątej. O piątej byłem u Grybiera, który ma pokój obok pokoju Zofii. Kazałem mu jechać do miasta. Dziesięć po piątej wyprowadził wóz z garażu. Zależało mi na tym, żeby nikt nie widział jego odjazdu. Miał przecież jechać na pocztę z depeszą. Kręciliśmy się trochę po garażu, trochę po dziedzińcu. Gdy stary odjechał, poszedłem na chwilę do gabinetu, potem znowu wyszedłem na dwór. Zobaczyłbym taksówkę, usłyszałbym ruch w domu. Szofer musiałby wejść do jej pokoju po walizki. Wykluczone, żeby nikt ich nie słyszał. Tymczasem dopiero o

siódmej spostrzeżono nieobecność Zofii.

— Kto pierwszy spostrzegł jej nieobecność?

— Kucharka. Zofia zwykle przychodziła przed siódmą do kuchni. Dzisiaj nie zrobiła tego i Genowefa poszła do jej pokoju po dyspozycje.

Pokój był pusty. Kucharka zorientowała się, ze coś jest nic w porządku, i podniosła alarm.

— Kto pierwszy spostrzegł brak rzeczy należących do pani Zofii?

— Agnieszka.

— Chciałbym, żeby mi pan powiedział, gdzie jest pokój pani Zofii.

— Po przeciwnej stronie sieni jest korytarzyk. Na jego końcu jest pokój Zofii. Zaprowadzić pana?

— Och nic, dziękuję. Pójdę tam sam i to nie teraz! — przestraszył się Korcz. — Nie chcę zwracać na siebie niczyjej uwagi. Nikomu ani słowa o tym, że interesuję się zaginięciem pana krewnej albo sprawami pana Kazia!

— Niech pan będzie spokojny. Mnie przede wszystkim zależy na tym, by się panu powiodło. — Kilian wziął do ręki butelkę „Napoleona". — Pozwoli pan?

— Chętnie.

Jednocześnie umoczyli wargi, ale Korcz zaraz odstawił swój kieliszek.

— Reasumując nasze dotychczasowe rozważania musimy zgodzić się z tym, że pani Zofia miała możność opuszczenia pańskiego domu tylko wczoraj wieczorem, jeśli zależało jej na tajemniczym zniknięciu. Nie wiemy, dlaczego miałoby jej na tym zależeć, nie wiemy również, dokąd się udała.

— Tak — przyznał Kilian. Podszedł do okna i począł zaciągać zasłony. Raptem wydał przytłumiony okrzyk.

— Co się stało? — Korcz był już przy nim.

— Tam — Kilian wskazał ciemność za oknem. — Jakiś facet! Widziałem jego gębę tuż za szybą! Panie Stefanie,

gońmy go!
Ale Korcza już nie było w gabinecie. Kilian wybiegł przed dom. Nie mógł niczego dojrzeć w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie miał przy sobie latarki. W narożnych rynnach głośno bulgotała woda. W świetle padającym z okien drgały lśniące krople deszczu. Wiatr zapierał dech w piersiach. W takich warunkach trudno było kogokolwiek nie tylko gonić, ale nawet dojrzeć.

— Wracajmy do domu — usłyszał tuż obok siebie głos Korcza.

— Widział go pan?

— Nie. W takich ciemnościach to beznadziejna sprawa.

Wrócili do sieni. Powitał ich perlisty śmiech.

— Jak wy wyglądacie! Co to za spacery po deszczu! Ha, ha! Jasiu! Jak można tak przyjmować gościa!

— W otwartych drzwiach jadalni stała pani Lidka. Natapirowane blond włosy okalały jej twarz, zielone oczy ciskały iskry, wełniana suknia opinała zgrabną figurę podkreślając kształt biustu i bioder. — Prosimy panów do nas, kolacja na stole! Janku, czy pan gra w brydża?

Korcz zagapił się na panią domu z podziwem. — Świetna babka! — pomyślał.

Brydż przeciągnął się do późnej nocy, toteż na śniadanie do jadalni oprócz Kiliana i Korcza przyszli tylko Ludwiko i Albin, którzy nie brali udziału w grze. Pozostali domownicy jeszcze spali. Ogrodnik i Korcz prawie jednocześnie skończyli jeść i wstali od stołu.

W sieni Kilian zatrzymał się. — Będę tutaj czekał, a pan niech pójdzie na górę i włoży na siebie coś ciepłego. Pogoda pod psem i ten cholerny wiatr wciąż wieje.

Kiedy wyszli przed dom, Korcz w pierwszym impulsie począł szukać śladów stóp pod oknem gabinetu. Zaraz jednak

wyprostował zgiętą nad ziemią postać. — Nic z tego. Za duży był deszcz wczoraj wieczorem. Widzi pan te zagłębienia w ziemi? To na pewno są ślady stóp osobnika, którego widział pan wczoraj, ale sam diabeł nie rozpoznałby teraz ich kształtu.

— Drań wiedział, że może iść na pewniaka, dlatego znalazł się tak blisko! — Kilian spojrzał pytająco na Korcza. — Co panu pokazać?

— Chodźmy obejrzeć klasztor, a raczej to, co z niego zostało.

— Interesują pana stare klasztory?

— Ten klasztor mnie interesuje. Czasem w ruinach można znaleźć coś ciekawego...

Wspięli się na szczyt pagórka, gdzie wiatr był jeszcze silniejszy. Korcz poczuł nieprzyjemny ból w uszach. Pagórek był l porośnięty ostrą, sczerniałą trawą, wśród której gdzieniegdzie leżały omszałe odłamki murów, kamienie, gruz. Stosunkowo dobrze zachowała się sklepiona brama i jedna baszta strzegąca wyszczerbionej ściany.

Korcz ścisnął Kiliana za ramię. — Zostań pan tu, ja pomyszkuję w baszcie.

Żeby przej ść od bramy do baszty, trzeba było pokonać hałdę gruzu. Duży blok muru, na którym wyrosła spora brzózka, zagradzał wejście do środka.

— Tu będzie gorsza sprawa! — wrzasnął Kilian zaczerwieniony od wiatru. Ze zdumieniem spostrzegł, że Korcz już stoi na górze i znika wewnątrz baszty. Korcz nie zaryzykowałby skoku w dół, na drugą stronę zwaliska, gdyby zawczasu nie spostrzegł, że wewnątrz jest stosunkowo widno i na dole znajduje się podłoga. Obszedł bramę dokoła. W pewnym miejscu, przy ścianie, zobaczył szczątki -zbutwiałych schodów. Mury były nasiąknięto wilgocią. Zadarł głowę do góry. Pochmurne niebo zastępowało tu sufit. Wiatr świszczał tam wysoko z nieopisaną furią i Korcz

pomyślał z nagłym niepokojem, że może mu spaść na głowę kawał zmurszałego muru. Wewnątrz baszty nie było nic godnego uwagi. Sam nie wiedział, co spodziewał się tu zo baczyć, w każdym razie zmaltretowanych zwłok pani Zofii nie znalazł. Mokry gruz, po którym stąpał- nie zdradzał żadnych śladów ludzkiego pobytu.

— Panie Stefanie! — W otworze wejściowym nad stertą kamieni nieoczekiwanie ukazała się twarz Kiliana. — Co pan tam robi, u Boga Ojca?!

— Szukam wczorajszego dnia! — roześmiał się Korcz i pomyślał, że żartobliwa odpowiedź zawierała niechcący szczerą prawdę. Chciał znaleźć ślady tego, co stało się wczorajszego dnia czy nocy, ale tutaj ich nie było.

— Znalazł pan coś ciekawego? — zapytał ogrodnik, gdy Korcz windował się z powrotem na górę.

— Nie.

— To chodźmy stąd.

Zeszli z pagórka między starannie uprawione grunty. Kroczyli jakiś czas w milczeniu obok siebie, kiedy Korczowi przyszła nagle do głowy nowa idea. — Czy jest tu gdzieś w pobliżu jakaś rzeka, jezioro albo jakiś inny zbiornik wody, choćby otwarta staroświecka studnia?

Kilian spojrzał na Korcza wstrząśnięty.

— Podejrzewa pan, że Zofia popełniła samobójstwo?

— Jest tu gdzieś w pobliżu jakaś woda?

— Jest. Staw. Tam, w zagajniku. Chce pan obejrzeć?

Korcz kiwnął twierdząco głową. Minęli cieplarnię i wąską ścieżką szli dalej w lewo. Zagajnik był gęsty, dlatego z daleka nie było widać niedużego stawu, częściowo zarośniętego wikliną.

— Naprawdę przypuszcza pan, że ona mogła popełnić samobójstwo?

— Przecież nic takiego nie powiedziałem.

— Więc dlaczego szukał pan jej w baszcie, a teraz tutaj? —

Nagle wyraz zdumienia pojawił się na jego twarzy. — Pan przypuszcza, że... ktoś ją zamordował?

— Należy się z tym liczyć. Pan mi wybaczy, ale ja w to nie wierzę, żeby stara kobieta zdecydowała się ni z tego. ni z owego na wyjazd, nie mając zapewnionego żadnego mieszkania. Oczywiście dowiem się. czy nie zamieszkała w hotelu. To jest mało prawdopodobne, bo tego rodzaju kobiety nie zatrzymują się na ogół w hotelach. Hotele kojarzą się im z grzesznym, występnym życiem. Poza tym są kosztowne. Zdążyłem dowiedzieć się przed śniadaniem od kucharki, że pani Zofia nie prowadziła żadnej korespondencji, a ostatnio nigdzie nie wyjeżdżała. Niczego więc nie mogła załatwić w sprawie nowego lokum ani listownie, ani osobiście. A przede wszystkim nie wierzę w to, by szofer taksówki wszedł zupełnie niepostrzeżenie do pańskiego domu późnym wieczorem, a następnie przeniósł z pokoju pani Zofii jej bagaże do wozu i żeby nikt tego nie widział i nie słyszał. Obok pokoju pani Zofii znajdują się pokoje Grybiera i Genowefy? Wchodzi się do wszystkich pokoj ów z tego samego korytarzyka?

— Tak.

— Wczoraj Genowefa podobno nad ranem poszła spać, bo jak mi mówiła, zaczęła sobie robić ciepły sweter na drutach, a że coś tam sknociła, parę razy pruła robotę i zaczynała od nowa. Twierdzi, że do czasu swego zaśnięcia, to jest do godziny piątej nad ranem, nie słyszała żadnych odgłosów z pokoju pani Zofii. Ciekawe, co? Przecież o piątej pan z Grybierem byliście już na nogach.

— Do czego pan zmierza, na Boga? Zresztą, dobrze. Przypuśćmy, że Zofia nie wyjechała z mojego domu. Dlaczego nie bierze pan pod uwagę samobójstwa?

Korcz wzruszył ramionami. — Czy słyszał pan kiedyś o samobójcy, który zadaje sobie przed śmiercią tyle trudu, żeby spakować wszystkie swoje rzeczy i wynieść je nie wiadomo

gdzie? Nie mówiąc o tym, że bardzo rzadko popełniają samobójstwo ludzie religijni, uważając własnoręczne skracanie sobie życia za grzech gorszy od zbrodni. Toteż uważam samobójstwo pani Zofii za nieprawdopodobne.

— Trudno odmówić logiki pańskiemu rozumowaniu — przyznał niechętnie Kilian.

Znaleźli się nad stawem. Korcz zobaczył przewróconą do góry dnem butwiejącą łódź.

— Kochany panie — rzekł Kilian stanowczo, podchwyciwszy kierunek jego spojrzenia — jestem odporny na wszelkie trudy, z racji swego zawodu przebywam wiele na świeżym powietrzu, ale na dzisiaj mam dość. Przewiało mi głowę na wylot. Wracamy do domu.

— Zgoda, ale musi mi pan coś przyrzec.

— Jeśli będzie pan chciał mnie namówić do nurkowania w stawie, to od razu mówię — nic z tego.

Korcz uśmiechnął się. — Myślałem o tym, że należałoby przeszukać staw. Mógłby pan to zorganizować?

— Dzisiaj nic z tego nie będzie. Nie mam łodzi, ta tutaj jest całkowicie zmurszała, i nie mam ludzi. Na jutro mogę panu przygotować tę imprezę. Zadzwonię po kogoś do miasta.

— Proszę o daleko posuniętą dyskrecję. Trzeba wymyślić jakąś bajeczkę na użytek domowników. Musi być dosyć prawdopodobna, by nie obudziła podejrzeń. I, błagam pana, żadnych zwierzeń w sypialni!

— Za kogo mnie pan bierze! — oburzył się Kilian.

W milczeniu doszli do domu. Po dziesięciu minutach Korcz znowu wyszedł i skierował się w stronę szosy. Telefonicznie wezwana taksówka prowadzona przez kuzyna kucharki skręcała z szosy na boczną drogę, kiedy spotkała się z Korczem.

Kilian zapukał do pokoju Korcza.

— Już przyjechali! Jest pan gotów?
— Tak. Możemy iść.
— Co pan powiedział rodzinie? — zapylał Korcz już na dziedzińcu.
— Namówił mnie pan na hodowlę karpi, ale póki co, jako ekspert od tych zwierzaków, musi pan sprawdzić staw, czy jest odpowiedni do takiego celu. Dodam jeszcze, że moja rodzina nie zna się na rybach.
— Dobrze pan to wymyślił. Ilu ludzi pan sprowadził?
— Dwóch. Powinni raz dwa skończyć. Staw jest mały.
— A im co pan powiedział?
— Szukają na dnie stawu mego psa.
— Wiedzą chyba, że psy umieją pływać?
— Powiedziałem im, że psa ktoś prawdopodobnie utopił, domyślam się kto, i chcę wytoczyć temu komuś sprawę. Udałem pieniacza.
— W porządku, tylko za dużo kręcenia. Hodowla karpi, pies... Niech panu przynajmniej nie przyjdzie do głowy zaprosić tych ludzi do domu na kielicha. Zcby wszyscy mogli dowiedzieć się o dwóch bajkach...
— Ma pan rację, pójdę uprzedzić Gry-blera, żeby ich nie wpuszczał do domu. Zaraz do pana przyjdę.
Skierował się ku cieplarni. Korcz poszedł w stronę stawu, ale zaledwie zrobił kilkanaście kroków, usłyszał za sobą coś jakby strzał i krzyk. Zdumiony zobaczył, że Kilian, który dochodził już do cieplarni, wyciąga rękę i chwieje się. W jednej chwili znalazł się przy nim.
— Co się panu stało?!
— Ręka! Coś mnie uderzyło... boli... Korcz ujął Kiliana za wyciągniętą rękę.
— W którym miejscu pana boli?
Po lewej dłoni Kiliana, wzdłuż palców, cienką strużką płynęła krew i kapała na ścieżkę. Korcz otrząsnął się z osłupienia.

— Czy boli pana dłoń?

— Nie, wyżej, ramię. Gdzieś tu, powyżej łokcia!

Korcz ostrożnie dotknął ręki Kiliana. Zaklął. — W rękawie są dziury! To kula!

— Ktoś do mnie strzelił?

— Owszem. Ktoś do pana strzelił. Kto jest w cieplarni o tej porze?

— Teraz pracuje tam Grybier. Wykluczone, żeby stamtąd...

— Tylko stamtąd mógł paść strzał. Nikt nie stał w otwartym polu i nie mierzył do pana jak do kaczki. Ktoś nie uwierzył w bajeczkę o hodowli karpi. Ktoś bacznie nas obserwuje i nie życzy sobie, abyśmy deptali mu po piętach. Da pan radę sam dojść do domu? Ja... — Korcz tak szybko wyrzucał z siebie słowa, że stracił oddech — pobiegnę natychmiast do cieplarni!

Kilian zdrową ręką przytrzymał Korcza. — Niech mnie pan zaprowadzi do domu. Robi mi się ciemno przed oczami!

— Dobrze. Odprowadzę pana — rzekł Korcz z rezygnacją. — Bandzior zdąży się tymczasem bezpiecznie wycofać.

— Mógłby strzelić teraz do pana!

— Bzdura. Jestem idiota, że nie pognałem tam z miejsca. Podejrzewam, że pan mnie umyślnie zatrzymał.

— Tak. Gdyby strzelił również do pana, zostałbym sam.

Korcz poczerwieniał z gniewu i nic nie odpowiedział. Ogrodnik był bardzo blady 1 ledwie trzymał się na nogach.

— Trzeba ścisnąć panu tę rękę — zreflektował się Korcz. Kilian syknął z bólu, ale pozwoli! założyć sobie zaimprowizowaną opaskę z chustki Korcza. Ruszyli pomału w stronę domu.

— Twierdzi pan, że Grybier jest teraz w cieplarni?

— Powinien tam być o tej porze.

— Nie jest pan pewien?

— Cholera go wie. Może gdzieś wyszedł na chwilę i ktoś z tego skorzystał...

Poszli do domu. W sieni Korcz zawahał się. — Zaprowadzić pana do sypialni?

— Nie. Wolę kanapę w gabinecie. Nie mam sil włazić na górę po schodach. Sprowadźcie lekarza i niech Udka mną się zajmie.

Korcz znalazł Kilianową w kuchni w towarzystwie Ludwiki i kucharki. Powiedział im, co się stało, kazał wezwać lekarza i pognał do cieplarni. Grybier dokładał właśnie koksu do pieca. Korcz rozejrzał się dokoła. Drugiego wejścia do cieplarni nie było. Jedyne drzwi, którymi wszedł, znajdowały się w północnej ścianie i były widoczne od strony domu.

— Ładna cieplarnia — powiedział.

— Uhm — odrzekł Grybier.

— Nie widział pan tu gdzieś pana Kazika?

— Nie.

Stary wyraźnie nie był w towarzyskim nastroju.

— A ktoś obcy nie kręcił się w pobliżu? Grybier uśmiechnął się złośliwie.

— Włóczą się tu czasem różni tacy, ogrodników udając.

Korcz przełknął łatwo docinek. Postanowił zagrać w otwarte karty.

— Panie Grybier, kto strzelił z cieplarni do Kiliana?

Ogrodnik wytrzeszczył oczy.

— Coś pan, pijany?

— Pytam najzupełniej poważnie. Kto strzelał, pan?

Stary pobladł.

— Kiedy strzelano?

— Dziesięć minut temu.

— Nie wiem. Przyszedłem tu przed chwilą.

— Gdzie pan był?

— Myłem samochód w garażu.

— Długo to trwało?

— Może pół godziny. Na zegarek nie patrzyłem.

— A przedtem, zanim zaczął pan myć wóz, gdzie pan był?

— Byłem tutaj. — Grybier zbuntował się nagle. — Panie, ja o niczym nie wiem! Coś się pan do mnie przyczepił! Ja miałbym zabić Kiliana!
— Kilian nie został zabity — powiedział Korcz łagodnie.
Grybier głośno przełknął ślinę.
— Za stary jestem na takie żarty! Nie pozwolę, żeby wariata ze mnie strugano! Ja z Kilianem byłem w lesie, na Berlin szedłem, kiedy pan jeszcze w zębach koszulę nosił! — Z rozmachem cisnął szuflę do nabierania koksu w kąt obok pieca.
— On naprawdę jest ranny. Ktoś postrzelił go dziesięć minut temu, w ramię, kiedy obaj szliśmy w stronę zagajnika. Strzał mógł paść tylko z cieplarni, rozumie pan?
— Myślałem, że pan żarty sobie stroi — wymruczał Grybier poruszony. — O Boże, trzeba go ratować, on jest dla mnie jak rodzony brat!
— No właśnie! — podchwycił Korcz żywo. — Kilian jest w niebezpieczeństwie, ktoś z jakiegoś powodu chce pozbawić go życia. Słyszał pan o jakichś jego wrogach?
— Nie wiem o nikim takim. Bardzo dobrze mu się powodzi, ogrodnictwo takie, jak nasze, popłaca, to i ludzie zazdroszczą forsy, ale żeby aż tak, do zabicia, to nie, panie.
Korcz zniżył głos do szeptu.
— A rodzina?
— Rodzina jak to rodzina — powiedział Grybier wymijająco.
Korcz nie dał się zbyć.
— Tu chodzi o życic Kiliana — rzekł z naciskiem.
— Kilianowa... młoda jeszcze i ładna, ale za bardzo leci na forsę, a z takiego czegoś nic dobrego nie wynika.
— Ma kogoś na boku?
— Nie wiem.
— A Kilian j aki j est dla niej ?
— On ją lekceważy, panie. On swoje już przeżył. Miał żonę

za okupacji. Niemcy ją zabili. A z tą już jako stary wdowiec zadał się i ożenił. To już nie to, co było. Dużo by gadać, panie.

— No właśnie! — podchwycił Korcz. — Jak pan myśli, może jej zależeć na jego śmierci?

— Chyba nie. Baba jest jak inne, ani lepsza, ani gorsza. Nawet nie kłócą się z szefem za bardzo. Gdzież jej będzie lepiej?

— A co z tym siostrzeńcem Kiliana. Kazikiem?

— Ano nic, panie.

— Może to on... co?

— Nie widziałem, nie mogę gadać. Rano owszem, był tutaj.

— O której?

— O siódmej. Przyszedł po kwiatek dla żony.

— Jednak ostatnio pan Kazik jakiś nie w humorze?

— Rzeczywiście. Ma jakieś kłopoty.

— Ktoś tu. podobno pana Kazika nachodzi?

— Ja nie widziałem, ale inni widzieli.

— Kto?

— Pani Ludwika. Widziała obcego mężczyznę. Kręcił się po zagajniku i przed domem.

— Kiedy?

— Pani Ludwika nie mówiła kiedy.

— Kto tu jeszcze był dzisiaj u pana?

— Była właśnie pani Ludwika z Genowefą. Przyszły po zieleninę na dzisiejszy obiad.

Nagle Korcz coś sobie przypomniał.

— Panie Grybier, a ten pan Albin... co to za człowiek?

— Pan Albin, panie, muchy nie ukrzywdzi. To stryjeczny brat Jana. Chory ciągle. Nic wiem, co mu brakuje, ale wiecznie się skarży, u doktorów siedzi.

— Z czego on się utrzymuje?

— Nie wiem. Może rentę ma.

— Jeszcze tylko jedno pytanie: co z panią Zofią, jak pan myśli?

Grybier wzruszył ramionami.

— Jeśli o nią się rozchodzi, to ja jestem całkiem głupi.

— Odwiózł ją pan do miasta?

— Ja?! A to z jakiej racji? Nie prosiła mnie zresztą o to.

— Nigdy przy panu nie wspominała o wyjeździe?

— Nie.

— Czy ktoś z rodziny Kiliana miał do niej pretensję?

— Chyba nie.

— Pójdę teraz zobaczyć, co z Kilianem, a pan niech tymczasem przypilnuje tych ludzi, którzy przeszukują staw, i jak skończą, niech przyjdą tutaj, do cieplarni, i poczekają na mnie.

Grybier spojrzał na Korcza z nadzieją w oczach.

— Gdyby szef był zdrów, postawiłby flachę.

— Dobrze. Postaram się to zorganizować. Niech pan im to powie, a przy okazji przypilnuje, żeby dobrze szukali.

— Szukali? — zdziwił się ogrodnik, ale zaraz błysk zrozumienia rozświetlił jego spojrzenie. — A niech to jasna cholera, rozumiem! Człowiek stary, a głupi!

— Tylko ani słówka nikomu! — ostrzegł go Korcz.

Gdy Korcz wszedł do gabinetu Kiliana, lekarz z miasteczka rozmawiał właśnie z panią Lidką.

— To nic groźnego, proszę pani, kość nie naruszona, nie ma powodu do obaw — uspokajał ją z zawodową grzecznością. — Tym niemniej, gdybym był na państwa miejscu, zawiadomiłbym milicję.

Kilian wymienił z Korczem porozumiewawcze spojrzenie. — To się załatwi.

Doktor uśmiechną! się pocieszająco do Kilianowej.

— Najważniejsze, że małżonek nie jest za bardzo uszkodzony. — Zamknął walizeczkę z instrumentami lekarskimi i podszedł jeszcze do Kiliana. — Uszy do góry! Za

dwa tygodnie nawet znaku nic będzie po ranie.

Gdy zostali sami, Korcz wyjął coś z kieszeni i pokazał Kilianowi na otwartej dłoni.

— Łuska? — Ogrodnik obejrzał ją uważnie. — Gdzie pan ją znalazł?

— W cieplarni.

— Powiedziałbym, że została wystrzelona z pistoletu, który mi niedawno zginął.

— Miał pan pistolet?! — Wyraz oczu Korcza stał się nagle ciężki jak ołów.

— Miałem. To była, wie pan, taka głupia historia. Został mi z czasów wojny, zdobyczny, niemiecki. Chciałem go zdać naszym władzom, ale gdzieś mi się wtedy zawieruszył. Rzecz w tym, że moja matka tuż przed śmiercią, a zmarła nagle na serce, schowała go na strychu. Schowała go tak dobrze, że wstyd powiedzieć, dopiero niedawno go znalazłem, a mama zmarła już ładne parę lat temu. Miałem go oddać, gdy powtórzyła się ta sama historia: pistolet gdzieś wyparował.

— Jak to? Nawet nie zainteresował się pan, kto powtórnie zabrał pistolet? — Głos Korcza brzmiał niedowierzaniem.

Kilian westchnął. — Powiedziałem panu, że to głupia historia. Teraz wyskoczyła ta historia z Kazikiem i...

— Co Kazio ma do tego?

Kilian zawahał się z odpowiedzią.

— No dobrze, może inaczej postawię pytanie: kiedy po raz drugi spostrzegł pan brak pistoletu?

— Na jakiś tydzień przed pańskim przyjazdem.

— Co takiego?! — Korcz w zdenerwowaniu przebiegł gabinet tam i z powrotem. — Wygląda na to, że ktoś wygarnął do pana z pana własnego pistoletu! Czy pan wie, co to znaczy? To wskazuje na kogoś z domowników! Musi pan być ostrożny, nikomu nie może pan ufać!

Kilian poruszył się niespokojnie. — Komu by zależało na mojej śmierci? Zonie? Krewnym? Dlaczego? Mają dobrze ze

mną. Umiem robić pieniądze. Im dłużej żyję, tym bardziej mój majątek rośnie. Zresztą sam pan wie. Mam studia rolnicze, chociaż dla urzędu finansowego jestem przede wszystkim badylarzem-milionerem.

— Podejrzewa pan pana Kazia, chociaż go pan broni. Dlatego wysłał pan depeszę.

— Nic podobnego. Kazia będę broni! nadal. To nie on strzelał.

— Skąd pan wie? Ma pan tylko trzech mężczyzn w domu: Kazia, Grybiera i pana Albina. Według pana, Kazio nie strzelał. Grybier też nie — zaufany człowiek, towarzysz broni i te pe. Pozostaje więc pan Albin.

— Nonsens! — roześmiał się Kilian. — Wpierw nogami by się nakrył, nieborak, zanim pociągnąłby za cyngiel. To ciamajda. Zresztą dlaczego miałby do mnie strzelać?

— Przypuszczałem, że pan powie coś w tym stylu. Więc co? Na naszej czarnej liście umieszczamy same panie?

— Nie możemy tak stawiać sprawy.

— Owszem, możemy, jeśli strzelono z pana broni. Twierdzi pan, że pistolet zginął przed paroma dniami. Zsumujmy wypadki. Pana usiłowano zabić. Zniknęła pani Zofia. Prawdopodobnie nie wyszła z tego domu. Pan Kazio kontaktuje się z podejrzanym typem, który kręci się od jakiegoś czasu koło pańskiego domu. Pan Kazio usiłuje wyłudzić od pana niebagatelną sumę stu tysięcy złotych. W grę wchodzą więc pieniążki. I co? Czy to panu nie wystarczy? Czy powinniśmy mieć jeszcze jakieś wątpliwości, że pana najbliższe otoczenie wykazuje niebezpieczną aktywność? Moim zdaniem, należy nareszcie skończyć z sentymentalizmem i skrupułami. Umieścimy na naszej czarnej liście wszystkich, którzy tu mieszkają, oraz tych, którzy tu przychodzą jako przyjaciele czy znajomi. — Wyjął notes w czarnej plastykowej oprawie, napisał w nim parę zdań i powiedział: — Muszę pana teraz opuścić. Chciałbym,

żeby ktoś bez przerwy przy panu siedział. Może pani Agnieszka?

— Ona chętnie się zgodzi.

— Doskonale. Sprowadzę ją tutaj. Orientuje się pan, dlaczego?

— Owszem.

Korcz powiedział Agnieszce o czekającej ją misji, na którą przystała z ochotą, i poszedł do swego pokoju. Wyjął z walizki półlitrową butelkę wódki, którą przywiózł ze sobą ot tak, na wszelki wypadek, i zawinął ją w jakiś stary tygodnik znaleziony w szafie. Przechodząc sienią spotkał Ludwikę.

— Serdecznie pani współczuję — zagaił rozmowę.

— Dlaczego? — rzuciła nieoczekiwanie zaczepnym tonem.

— Ponieważ kuzynka wyjechała tak nieoczekiwanie, a ciężar gospodarowania spadł, domyślam się, na pani ramiona?

— Dam sobie radę — powiedziała oschle.

— Bezczelna ta napaść na pana Jana — ciągnął nie dając się zbić z tropu.

— A właśnie! Kręcą się tu jakieś podejrzane typy wokół naszego domu. Teren jest nie ogrodzony, bo jak ogrodrić taki szmat ziemi...

— Czy dzisiaj widziała pani kogoś?

— Owszem. Gdy byłam z Genowefą w cieplarni.

— Kogo pani widziała i gdzie on był?

— Widziałam jakiegoś mężczyznę kolo drogi.

— Dzisiaj przyjechali " ludzie oglądać staw. Rozpoznałaby pani tego faceta?

— Nie. Nie mam dobrego wzroku.

— To skąd pani wie, że to był ktoś obcy?

Zawahała się. — Kazik i Albin byli w tym czasie w domu, a Grybier poszedł myć samochód.

— Kiedy pani poszła z Genowefą do cieplarni, nikogo oprócz was tam nie było?

— Nie wiem. Kantorek nie jest oszklony. Za jego ścianą mógł ktoś stać. — Oczy jej zabłysły. — Może ci ludzie, którzy przyjechali grzebać się w stawie, coś panu powiedzą na ten temat?

Czy w czarnych, wyłupiastych oczach Ludwiki była tylko emocja, czy złośliwość?

— Strzał padł z cieplarni — powiedział Korcz.

— Możliwe — zgodziła się. — Jeśli za ścianą kantorku ktoś stał i po naszym wyjściu z cieplarni wszedł do Środka...

— Ale ta tajemnicza osoba musiała kiedyś wyjść, a nikogo nie widzieliśmy.

— Sprawdził pan zaraz po strzale, czy nikogo podejrzanego nie ma w cieplarni?

— Nie. — Korcz poczuł się jak uczniak przyłapany na błędzie w rozwiązywaniu zadania arytmetycznego. — Odprowadziłem pana Jana do domu. Źle się czuł.

— I stworzył pan szansę dla bandyty. Niestety, młody człowieku, trzeba było uważać!

Ta kobieta ma rację! — pomyślał Korcz z przygnębieniem. — Liczyłem na obecność Gryblera w cieplarni, tymczasem stary wyszedł myć samochód. Muszę sprawdzić, czy Kilian kazał mu myć wóz dzisiejszego rana i zapomniał o tym, czy też Grybier zrobił to bez niczyjego polecenia. A może był z kimś w zmowie? Tylko... Przecież to wypróbowany przyjaciel Kiliana. A może jednak? Z ludźmi i ich przyjaźnią różnie bywa...

Ludwika wpatrywała się w Korcza ciężkim spojrzeniem.

— Ktoś skradł panu Janowi pistolet z biurka — powiedział patrząc jej w oczy.

— Co pan powie? Mówiłam mu. żeby natychmiast oddał broń, jak tylko znalazł ją na strychu. Z takiej rzeczy mogą wyniknąć duże przykrości.

— Czy pani nie domyśla się, kto mógł skraść ten pistolet?

— Niech pan zapyta któregoś z mężczyzn, to ich domena,

cóż ja mogę wiedzieć — wzruszyła ramionami. — Muszę już iść do swoich zajęć i chciałabym przy okazji panu powiedzieć, że dzisiaj obiad będzie trochę spóźniony, ale o wpół do drugiej proszę być w jadalni.

— Będę punktualny — obiecał.

Przeszukiwanie stawu zostało zakończone przed jedenastą. Nic nie znaleziono. Korcz zostawił u Grybie- ra obiecaną wódkę. Potem rozmawiał z domownikami, ale nie dowiedział się niczego ani o pistolecie, ani o napastniku. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że nigdy nie widzieli broni Kiliana, nikt również nie wiedział, kto z niej zrobił użytek. Do dwunastej Grybier spił się z ludźmi, którzy przeszukiwali staw. więc Korcz zaofiarował się odwieźć ich do miasta, bo nie byli w stanic prowadzić furgonetki, którą przyjechali. Po załatwieniu sprawy w mieście Korcz przyjechał z powrotem do „klasztoru" taksówką. Nie było w tym żadnego zbiegu okoliczności, że wiózł go szwagier kucharki Genowefy.

Kilian przywitał go pochmurną miną.

— Kiedy wreszcie coś się wyjaśni? Nie zniosę tego wszystkiego dłużej!

Agnieszka zrobiła przepraszającą minę i wymknęła się za drzwi. Korcz przeczekał atak złości gospodarza i gdy ten się cokolwiek uspokoił, siadł koło niego z papierosem.

— Niestety, musi się pan uzbroić w cierpliwość. Niczego nie wyjaśnimy w ciągu paru godzin.

— Wiem, wiem! — przerwał niecierpliwie Kilian. — Ma pan oczywiście rację. ale co ja zrobię, kiedy krew mnie zalewa! Załatwił pan coś w mieście?

— Tak, — Korcz wstał, wziął z biurka popielniczkę i postawił ją obok siebie. — Panie Kilian, gdyby pan zmarł, kto dziedziczy pański majątek?

— Więc zakłada pan jednak, że zginę gwałtowną śmiercią?

— Nie to miałem na myśli. Zrobił pan jakiś testament?

— To niemodne u nas, ale ja zrobiłem.

— Kto jest spadkobiercą?

— Przede wszystkim Lidka, a następnie... Kazik.

— Więc jednak! Czy on o tym wie?

— O testamencie? Naturalnie, dlaczego miałbym to przed nim ukrywać? Testament kazałem sporządzić dwa lata temu. Kazik nic był jeszcze wtedy żonaty. Mieli się dopiero pobrać, smarkacze.

— Kto jeszcze jest wymieniony w testamencie?

— Albin.

— Przepraszam, z czego on się utrzymuje? Ubogi krewny?

— Wprost przeciwnie. Większą część pieniędzy na rozkręcenie mego zakładu dał właśnie on.

— Jest wspólnikiem?

— Tak. Bardzo dla mnie pożądanym, bo ma udział w zyskach, a nie wtrąca się do niczego, bo nie zna się po prostu na ogrodnictwie.

— Czym zajmował się pański kuzyn, zanim zamieszkał u pana?

— Był kupcem. Przed wojną miał w Warszawie duży magazyn z futrami.

— Dorobił się na tym majątku?

— Tak.

— Sklep nie został zniszczony w czasie wojny?

— Owszem, spalił się, ale Albm był bardzo bogaty już przed wojną i miał walory dobrze ulokowane.

— Po co więc zapisał mu pan coś w testamencie?

— Nie pieniądze. Trochę rodzinnych pamiątek, antyki, jednego Kossaka, którego ma już zresztą na ścianie w swoim pokoju.

— Przecież on jest starszy od pana?

— Oczywiście, ale trudno mi było go pominąć, skoro już zacząłem z testamentem."

— Rozumiem. Kogo jeszcze pan uwzględnił?

— Grybierowi kapnie coś niecoś, jeśli mnie przeżyje.

— Dużo tego będzie dla Grybiera?

— Nie tyle, żeby opłaciło mu się przyśpieszać moją śmierć. Konkludując — nie widzę u siebie w domu nikogo, kto czyhałby na moje życie.

Korcz zirytował się. — Usiłuje mi pan przez cały czas wmówić, że pańska rodzina łącznie z Grybierem to same anioły. Z jakiego więc źródła płynie pański niepokój? — Oczy Korcza płonęły teraz gniewem.

— Nikogo nie wybielam, ale chodzi tu o moją rodzinę, wiec to chyba zrozumiale, że mam opory w doszukiwaniu się mordercy we własnym domu.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Musi mi pan pomagać, to jest teraz bezwzględna konieczność.

— Co mam, pana zdaniem, zrobić? — Kilian patrzył na Korcza z zakłopotaniem.

— Proszę zawiadomić zaraz pana Kazia, że zmienia pan treść testamentu na jego niekorzyść.

— Chce pan, żebym mu nic nie zapisał? Od razu panu mówię, że nie zrobię tego!

— Ale może mu pan powiedzieć, że pan to zrobi.

— Co to da?

— Niech pan się o to nie troszczy.

— Dobrze — zgodził się nagle Kilian. — Rób pan, co chcesz. Jestem już zmęczony tym wszystkim.

— Dziękuję. — Głos Korcza stał się znowu łagodny.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się Agnieszka z obiadem dla Kiliana na tacy.

Korcz zrobił przerażoną minę. — Obiecałem pani Ludwice, że punktualnie przyjdę na obiad, i masz babo placek.

Kilian natychmiast przejął sprawę w swoje ręce. — Mowy nie ma, żeby pan jadł w jadalni! Mnie dotrzyma pan towarzystwa ! Agnieszko, słyszałaś?

— Już się robi! — zawołała Agnieszka i za chwilę pojawiła się z Genowefą.

— Befsztyk i frytki! — zawołał Kilian radośnie.

Korcz zrobił bolesny wyraz twarzy. — Rozpieszczę się tutaj, a potem co? Czeka mnie znowu jadanie w stołówce!

— Też mi zmartwienie — zaoponował pan domu — można na to łatwo znaleźć lekarstwo.

— Jakie?

— Ożenek! Proszę spróbować sałatki z moich własnych pomidorów

— zachęcał kładąc sobie olbrzymie ilości jedzenia do ust.

Lubi kobiety i jedzenie — pomyślał Korcz — a może raczej jedzenie i kobiety.

— Skorzystam z obu pana propozycji — roześmiał się. — Wezmę teraz sałatkę, a nieco później żonę.

— Ha, ha, figlarz z pana! — Kilian przymrużył oko. — Wic pan, gdyby nie moja ręka, pojechalibyśmy gdzieś zabawić się.

— Nic z tych rzeczy!

— Wiem, wiem, niech pan nic robi takich surowych min. Marzę tylko. Pojechałbym z panem, panie Stefanie... I w naszym mieście są kobietki... mówię panu! — Przyłożył dwa palce do warg i cmoknął z zachwytem.

— Pańska małżonka wie o tych wyprawach?

— Wie, wie, ona by o czymś nie wiedziała!

— Myślałem, że pani Lidka jest wystarczająco atrakcyjna, by nic musiał pan szukać innych kobiet w mieście.

— Zobaczymy, jak pan będzie śpiewał, gdy się pan sam ożeni! — oburzył się Kilian.

Zjedli obiad w doskonałym nastroju.

— Kiedy pan chce odbyć rozmowę z panem Kaziem? — zapytał Korcz puszczając niebieskie kółka z dymu papierosa.

— Czy to naprawdę konieczne?

— Tak.

— No więc choćby zaraz.

— Doskonale. Pan Kazik jest pewnie jeszcze w jadalni. Zaraz mu powiem, żeby do pana przyszedł.

Dochodziła piąta po południu, kiedy Korczowi udało się wreszcie wylądować w swoim pokoju. Namówił przedtem Kiliana, aby położył się wreszcie do łóżka w sypialni.

Rozmowa ogrodnika z siostrzeńcem miała podobno przebieg umiarkowanie burzliwy. Kazio dowiedział się o rzekomej zmianie testamentu i według relacji Kiliana nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

A jeśli to nie Kazio? — zastanawiał się Korcz. — Udało się tym razem Kilianowi wyjść cało, ale co dalej? Czy rzekoma zmiana testamentu rzeczywiście zaktywizuje i tym samym zdemaskuje wroga? Jeśli to nie Kazio... Poprosić o pomoc? Napastnik spłoszy się, przyczai i może czekać na dogodny moment tydzień, miesiąc, dwa, rok... Nic, wróg z jakiegoś powodu działa w pośpiechu... Dowodzi tego strzał oddany do Kiliana, który przecież nic był wtedy sam. Obstawić dom? Co to da? Nic przecież nie wiadomo. Pani Zofia zniknęła, ale skąd pewność, że została zamordowana? Tajemniczy facet na szosie, strzał do Kiliana, zniknięcie Zofii, żądanie Kazika — jaki to wszystko ma związek? Owszem, ma — zastanowił się. . — Wszystkie te zdarzenia zbiegają się w czasie, zachodzą w jednym miejscu i łączą się z osobą ogrodnika. — Otworzył notes, aby zanotować w jakimś porządku znane sobie fakty, ale przyszło mu raptem do głowy coś nowego. Ubrał się i cicho wyszedł na korytarz. Przechodząc obok sypialni Kiliana przystanął na moment. Wewnątrz panowała cisza. — Pewnie śpi — pomyślał. Ostrożnie zszedł po skrzypiących schodach. Odetchnął dopiero znalazłszy się w wąskim korytarzyku, nie opodal izdebki Grybiera. Poruszył klamką drzwi od pokoju pani Zofii. Nie otworzyły się. Wyłowił z kieszeni spodni odpowiedni, specjalnie zakończony drut. Nieskomplikowany zamek ustąpił pod naciskiem wytrycha. Korcz przezornie nie zapalił światła. W blasku kieszonkowej latarki obejrzał

staroświeckie łóżko z ciemnego drzewa. Zobaczył gładko wyrównaną kołdrę, nietknięte poduszki. Bielizna pościelowa była zupełnie świeża. Poza pościelą na łóżku i nielicznymi sprzętami nie było tutaj żadnych osobistych rzeczy pani Zofii. Jedynie na haczyku przy drzwiach wisiał fartuch w paski, a w szafie wciśnięte w kąt, owinięte w gazetę sprzed roku, stały stare ranne pantofle. Zajrzał do nocnej szafki i oczy mu zabłysły. Na dolnej półce leżała ogromnych rozmiarów Biblia oprawiona w czarną cielęcą skórę. Biblia. Ogrodnik powiedział, że starsza pani miała zwyczaj w każdej chwili, wolnej od zajęć gospodarskich, oddawać się lekturze tej książki. Wobec tego... bardzo dziwny był fakt, że pani Zofia wyjeżdżając nic wzięła tak cennego dla siebie przedmiotu. Pogładził w zamyśleniu okładkę. Księgę spinała z boku metalowa klamra.

— To jest już chyba jakaś poszlaka. Ona nie mogła tego zostawić... Gdyby najzwyczajniej w świecie spakowała manatki i wyjechała, zabrałaby Biblię ze sobą...

Wziął księgę pod pachę i opuścił pokój. Powrócił do siebie przez nikogo nic zauważony, takie przynajmniej odniósł wrażenie. Przekręcił klucz w zamku. Nie chciał być przyłapany przez kogoś z domowników na wertowaniu Biblii. Popatrzył ciekawie na opasłe tomisko. Nie ukrywał przed sobą, że księga fascynowała go. Była jedynym dostępnym mu przedmiotem, z którym zaginiona kobieta obcowała bardzo często. — Może będą jakieś zapiski na marginesach, jakieś uwagi? — Położył Biblię na krześle obok łóżka i zapalił papierosa... — Idiota ’ze mnie — opadło go nagłe zniechęcenie. — Co mi tu Biblia pomoże? O czym świadczy fakt. że ją zostawiła? Poszlaka? Tak, albo i nie. Mogła mieć już sklerozę i po prostu zapomniała tej księgi. Albo może babce szajba odbiła i rzeczywiście popełniła samobójstwo?

Kiedy Korcz zaczynał za bardzo folgować fantazji, gubił się w domysłach albo rozważał rozmaite warianty ludzkich

poczynań, zawsze w pewnej chwili powracał do konkretu. Teraz również zaniechał dalszych domysłów na temat stanu psychicznego zaginionej i zabrał się do wertowania stron Biblii. W miarę kartkowania księgi jego nadzieja na znalezienie jakichś zapisków malała. Stare, pożółkłe stronice nie były opatrzone żadnymi notatkami. Postanowił mimo to wytrwać do końca i przejrzeć uważnie całość. W pewnej chwili powodowany niecierpliwością zajrzał na koniec tekstu i wtedy ujrzał coś, co sprawiło, że serce zaczęło mu bić przyspieszonym rytmem: do tylnej okładki przyklejony był zwykły, sześćdziesięciokartkowy zeszyt w kratkę, jakiego używają uczniowie do odrabiania zadań matematycznych. Mniej więcej trzy czwarte kartek było zapisane drobnym, kanciastym pismem. Drżącymi z niecierpliwości palcami, z rozbłysłym wzrokiem Korcz oderwał zeszyt od okładki Biblii. Tekst rękopisu składał się z niewielkich odcinków przedzielonych datami. Czyżby pamiętnik? Przebiegł wzrokiem pierwsze lepsze zdanie. Wiedziałam, że z tego wszystkiego nie wyniknie nic dobrego — przeczytał.

A więc tak! Pamiętnik! Nie wierzył swemu szczęściu. Sprawdził daty. Pamiętnik zaczynał się pięć lat temu, a najświeższa data... Gorączkowo przerzucił kartki. Końcowy zapis pochodził z ostatniej niedzieli...

To by znaczyło, że pani Zofia aż do chwili swego zniknięcia prowadziła zapiski... To już było nareszcie coś! Odruchowo spojrzał na drzwi. Ze też nikt z nich nie zorientował się, dlaczego pani Zofia przesiadywała tak nad Biblią! ? Schował zeszyt do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł z pokoju postanowiwszy czym prędzej położyć Biblię na dawne miejsce. Był w połowie schodów, gdy usłyszał kasłanie dobiegające z dołu. Wychylił się przez poręcz. W sieni ktoś stał. Niestety, mrok był gęsty i nie mógł dojrzeć, kto tam jest.

Dlaczego nie zapalili światła? Wczoraj o tej porze na dole świeciło się. Przez sień krzyżują się drogi do wszystkich

pokojów na dole i do części gospodarczej domu. Przez chwilę w sieni panowała cisza. Słychać było jedynie szum wiatru szturmującego do ostrołukowych okien. — Psiakrew! — zaklął w myślach. — Pewnie było jednak słychać moje kroki na tych przeklętych; skrzypiących schodach. Teraz, gdy moje stąpanie ucichło, ten ktoś na dole czeka. Czeka na mnie. Wstrzymał prawie oddech postanawiając nie ujawniać się. W razie czego wróci do swego pokoju. Ma przecież pod pachą Biblię, której nawet nic owinął w papier. Jednak w tejże chwili Korcz usłyszał szept, który akustyczna sień powtórzyła echem. — ,;Idż już". — Słowa zwielokrotnione echem wypełniły sień i zamarły gdzieś nad głową Korcza. Na tle gotyckich okien mignął ciemny zarys postaci. Mężczyzny? Kobiety? Niech to diabli porwą! Otworzyły się drzwi na wprost schodów, usłyszał stuknięcie klamki. Ale za drzwiami byio również ciemno.

Czyjaś postać, bezkształtna czerń, ciemniejsza od mroku sieni, wsiąkła w otwór drzwi. — Ktoś jeszcze został w sieni — pomyślał Korcz czując przemożną ochotę kichnięcia. — A może schować Biblię pod marynarkę i zejść ze’ schodów, zobaczyć, kto tam stoi? Bzdura! — skarcił sam siebie. — Mogę dostać kulką w brzuch. Pistolet Kiliana był już dzisiaj w użyciu... Co jest, u licha? Na co ten ktoś tam czeka? Cisza przedłużała się. Raptem na dole rozległ się słaby trzask naciśniętego kontaktu, zabłysło światło i prawie w tym samym momencie zamknęły się jakieś drzwi. — Cholera! — Pamiętał, że po stronie schodów znajdowała się jadalnia i gabinet Kiliana, ale z jadalni można było drugimi drzwiami wydostać się do małego korytarzyka i do kuchni. Szybko przemknął przez sień i skręcił na- prawo. W korytarzyku paliła się teraz słaba żarówka. A więc ktoś tu już był po jego odejściu. Stanął pod pokojem Grybiera. Nasłuchiwał. Niczym nie zmącona cisza nadal panowała za drzwiami. Sprawdził, że kucharka również była nieobecna. Wemknął się do pokoju

pani Zofii i położył Biblię na poprzednim miejscu. Wyprostował się po zamknięciu drzwiczek szafki, spojrzał na jej blat i nagle drgnął. Zapalił latarkę. Na nocnej szafce leżał pistolet. Zdumiał się tak, że przestał na chwilę oddychać, ale zaraz w następnym momencie krew uderzyła mu do głowy. — Pistolet? Kto go tutaj położył i dlaczego? Zauważono jego szperanie w tym pokoju? Cokolwiek by to było, Korcz poczuł ogarniającą go wściekłość. Teraz miał dowód, że pistolet był w posiadaniu kogoś z najbliższego otoczenia ogrodnika, przecież nikogo obcego nie było tutaj od chwili wyjścia lekarza. — Taak.

Atmosfera coraz bardziej się zagęszcza! Owinął pistolet w chusteczkę i wsunął dn kieszeni. Był prawic pewien, że na pistolecie nie będzie żadnych odcisków palców, z wyjątkiem jego własnych. Nie sprawdzał zawartości magazynka, na to będzie miał potem czas, gdy jak najszybciej wydostanie się z tego pokoju. Znalazłszy się z powrotem w sieni nie zdołał powstrzymać się od kichnięcia. Echo zaraz powtórzyło ten odgłos.

— Oho! Szanowny gość złapał katar! — zauważył ktoś z niejaką satysfakcją za jego plecami.

Odwrócił się.

Pan Albin uśmiechnął się do niego i kręcił z fałszywym ubolewaniem głową. — Ja zasięgnąłem dziś porady u naszego eskulapa — powiedział. — Diabeł nie śpi przy takiej pogodzie,

Skąd on się tu wziął? Nie słyszałem jego kroków — zastanawiał się Korcz w duchu.

— Widziałem, jak pan wybrał się na spacer z Jankiem dzisiejszego ranka, a to nie był dobry pomysł! — cieszył się domownik Kiliana. — Niezdrowo! Niezdrowo!

— No pewnie! — odparł Korcz. — Zwłaszcza jak się dostaje kulką z pistoletu, choroba murowana!

Pan Albin zamrugał powiekami i rozłożył ręce. — Hm. Duża przykrość spadla na nas w związku z tym zdarzeniem, ale

mam nadzieję, że milicja wytropi bandytę, hę? — Uśmiech ramola był wyraźnie krzywy.

— A to pan poznaje, co? — Korcz wyszarpnął pis tok i z kieszeni i zademonstrował podsuwając tamtemu pod nos.

— Co?! Ja nic nie wiem!

— Taak? Ale ja wiem, że pan go położył w wiadomym miejscu! — zablefował Korcz.

Twarz pana Albina gwałtownie poczerwieniała. — Niech pan sobie za dużo nie pozwala! — wysapał.

— Nie wkręci mnie pan w żadną aferę! — Cofnął się o krok i zmierzył Korcza demonstracyjnie obraźliwym spojrzeniem. — Kim pan właściwie jest? Jakie ma pan prawo wtrącać się w cudze sprawy?

Teraz na twarzy Korcza pojawił się krzywy uśmiech. — Jeśli ktoś w tym domu strzela do przyjaciela mego ojca, mam moralny obowiązek zainteresować się tym bądź co bądź niecodziennym faktem.

Albin nagle stracił całą poprzednią pewność siebie. — Przyznaję — zaczął w swój rozwlekły sposób — że ma pan naturalnie w tym wypadku rację, ale ja niezależnie od pana postawy nie mam z tym wszystkim nic wspólnego i nie pozwolę się wciągać w taką rzecz.

— Kto podrzucił pistolet?

— Nie chcę więcej z panem dyskutować — odrzekł Albin. Rzucił Korczowi złe spojrzenie, wzruszył ramionami i z grymasem oburzenia odwrócił się i odszedł.

Korcz odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, tych samych drzwi, w których niedawno zniknęła osłonięta mrokiem sylwetka jednej z osób, biorących udział w tajemniczej rozmowie. Bardzo prawdopodobne, że jedną z tych osób był właśnie Albin. Korcz westchnął. — Po jaką cholerę oni podrzucili ten pistolet? Jakie to ma znaczenie? Jedno jest pewne: ktoś mnie bacznie obserwuje, śledzi każdy mój krok. — Wszedł do swego pokoju i zaraz za progiem uderzył się

dłonią w czoło.

— Pistolet położono na widoku tak, żebym go od razu znalazł. Ktoś tu rozgrywa jakąś grę. Jaką? O co tu może chodzić, jak nie o forsę? Albin nic nie zyskuje w razie śmierci Kiliana. Sam jest bogaty. Nie ma potrzeby być mordercą. W takim razie... Czy ów X musi również wiedzieć, że brałem Biblię, i co więcej, przewidział, że ją odniosę na miejsce? A skoro tak, czy wie również o zeszycie? Chyba nie. Zapiski wyglądają autentycznie. Pierwsze kartki zeszytu pożółkły już. Nikt nie sfabrykowałby naprędce fałszywego pamiętnika o takim wyglądzie. Zapiski były robione wiecznym piórem i atrament w różnych miejscach mu różną barwę. Gdyby pamiętnik zauważono, zniszczono by go z całą pewnością. Pani Zofia, jako uboga krewna, na pewno nie pozwalała sobie w rozmowach na krytykę krewnych. Natomiast mogła sobie ulżyć pisząc pamiętnik... Korcz zamknął drzwi na klucz i wyjął cenny zeszyt z kieszeni marynarki, następnie wyjął pistolet owinięty w chustkę do nosa i położył przed sobą zdobyte skarby. — Zaraz się przekonam — kończył swój bezgłośny monolog — kto tu jest najbardziej zainteresowany w śmierci Kiliana. Biorąc na zdrowy rozum, najbardziej powinno na niej zależeć jego żonie i Kazikowi. — Namyślił się, schował swoje skarby i zapukał do pokoju Kiliana.

— Boli mnie coraz więcej — poskarżył się ogrodnik.

— Lekarz dal panu jakiś zastrzyk znieczulający?

— Dostałem jakieś zastrzyki, Ale od tamtej pory minęło parę godzin.

— Da się ten ból wytrzymać?

— Dać to się da, ale dlaczego pan pyta?

Korcz roześmiał się. — Niech pan nie patrzy na mnie tak podejrzliwie. Pytam dlatego, ponieważ muszę znowu pojechać do miasta, i to jak najszybciej, i mógłbym w razie czego sprowadzić lekarza. Przyszedłem między innymi po to, by poprosić pana o samochód.

— Jest do pana dyspozycji zawsze, kiedy będzie panu potrzebny. A co? Zaszło coś nowego? — zaciekawił się nagle.

Korcz bez słowa wyjął pistolet z kieszeni i rozwinąwszy chustkę pokazał Kilianowi.

— Niech pana wszyscy diabli, chłopie! Skąd go pan wytrzasnął?!

— Czy to pański pistolet? — zapytał Korcz wpatrując się z natężeniem w twarz pana domu.

— Mój oczywiście, że mój ! Gdzie pan go znalazł? O, widzi pan tę rysę na lufie? Mój!

— Leżał na nocnej szafce w pokoju pani Zofii.

— Co takiego?! — Dziwne, co?

— Nic nie rozumiem — westchnął bezradnie Kilian.

Korcz schował pistolet. — Może jednak przywieźć panu lekarza?

— Nie, dziękuję, po co mi lekarz dwa razy dziennie? Sami wszyscy mówicie, że rana nie jest groźna. Poboli i przestanie.

— Byłoby mi to na rękę... Za często wyjeżdżam, to może wzbudzić podejrzenia naszego wroga.

— Rozumiem — rzekł Kilian. — Doktora nie zastanie pan w domu. Przyjmuje teraz w przychodni. Ale mam lepszy pomysł, niech pan powie babom, że jedzie pan do adwokata w związku ze zmianą mojego testamentu.

— Dobra myśl — ucieszył się Korcz.

Kiedy Korcz wrócił, Kilian o nic nie pytał, znużony raz po raz zapadał w drzemkę. Znowu wiał wiatr, dom, jak stary okręt, pełen był szmerów, trzasków, zdawało się,’ że za chwilę popłynie gdzieś w ciemność jesiennej szarugi. Nikogo z rodzinki nie było widać. Może siedzieli w swoich pokojach, może ucinali drzemkę przed kolacją?

Korcz postanowił zabrać się do czytania pamiętnika Zofii późnym wieczorem, kiedy nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Teraz znowu jak magnes ciągnął go pokój Zofii. Miał nieodparte wrażenie, że zaginięcie starej gospodyni ma jakiś związek z zamachem na życie Kiliana. Zszedł na dół do Grybiera. Stary ogrodnik był u siebie, skończywszy już pracę.

— Jak sprawy stoją? — Grybier zniżył głos do szeptu.

Korczl podszedł do drzwi, otworzył je raptownie i wyjrzał na korytarz. — Zdawało mi się, że słyszę jakiś szmer za drzwiami — powiedział.

— Nikogo tam nie było?

— Nikogo.

— Nerwy, panie.

— Bezpieczniej się upewnić. Ogrodnik patrzył wyczekująco.

Korcz siadł na krześle. — Gdzie oni podziali panią Zofię? I te wszystkie jej rzeczy? Nic panu nie przychodzi do głowy? Byłem w ruinach, staw przeszukany, jak pan wie, bez rezultatu. Nie ma tu jakiegoś loszku, piwnicy od lat zamkniętej i nie używanej?

— Czekaj pan! Jest! Cholera, żeby tak zapomnieć! Jest taki pokoik, niepokoik, można go nazwać i loszkiem na upartego. Odkąd pamiętam, nikt go do niczego nigdy nic używał. Za dużo tam wilgoci. Już za życia starego Kiliana byt zamknięty.

— Gdzie to jest?

—Trzeba wyjść kuchennymi drzwiami na podwórze. W ścianie domu są stare drzwiczki. Schodzi się po schodach w dół. Okna tam nie ma. Ten loszek będzie chyba pod pokojem pani Zofii.

— Chciałbym tam z panem pójść.

— Możemy iść, tylko ja chyba nic mam klucza. Cholera wie, czy znajdę go wśród swoich rupieci. Zaraz chce pan iść?

— Nie. dzisiaj w nocy. O której tu najpóźniej kładą się spać?

— Rożnie. Ale do dwunastej wszyscy już śpią.

— Dobrze. Będę u pana punkt pierwsza.

Parę minut po dziewiątej Korcz zaniósł sam Kilianowi kolację, a następnie, natarczywie molestowany przez panią Lidkę, zgodził się na partyjkę brydża. Zgodził się, bo Kilian był zmęczony i nie potrzebował jego towarzystwa, a na czytanie pamiętnika wyznaczył sobie godzinę jedenastą. Pan Albin przygotował w jadalni mały stolik do kart i udawał, że nie pamięta o scenie w sieni. Kazik zniknął zaraz po kolacji. Agnieszka czuwała przy Kilianie, do brydża zasiedli więc Albin, pani Lidka, Korcz i Ludwika.

— Pana ojciec jest przyjacielem mego męża. Czy także jest ogrodnikiem?

Pani Lidce wyraźnie nie chciało się grać, choć Albin niecierpliwił się.

— Owszem — skłamał Korcz.

— I także prowadzi kwiaty?

— Nie, Pomidory, ogórki, melony i różne inne zielsko.

— Słyszysz, Ludwiko?

— Owszem — odrzekła stara panna — to bardzo interesujące.

— Ja właściwie tylko raz w życiu jadłam melony, zabawne, prawda?

— Kwestia gustu — zauważył Korcz.

— Ależ nie, nie o to chodzi. Bardzo mi smakowały, aromat miały wprost boski, ale jakoś tak się złożyło, że nie miałam okazji spróbować po raz drugi.

— Przyślę pani całą skrzynię melonów z naszej plantacji — obiecał beztrosko — trzeba tylko trochę poczekać.

Pani Lidka klasnęła w dłonie. — Melony z plantacji! Dziękuję pięknie, panie plantatorze! Kiedyż to będzie, bo już mi ślinka cieknie?

— Za parę miesięcy.

— Tak? A ja myślałam, że już niedługo...

— Czas szybko płynie.

— W istocie — zauważył Albin wyraźnie zniecierpliwiony. —

Gramy czy nie?

— Albin, nie bądź nudziarzem — skarciła go pani Lidka. — Że też Janek nigdy mi o panach nie mówił. Nic miałam pojęcia, że Janek przyjaźni się z plantacją!

Niech to cholera weźmie! — pomyślał Korcz. Napotkał spojrzenie Ludwiki, ciekawe, taksujące. Oczy miała zupełnie na wierzchu i z ustami rozciągniętymi w grzecznym uśmiechu była bardziej niż kiedykolwiek podobna do żaby.

— Jak zapatrujecie się na kawę? — zapytała patrząc na Lidkę.

— Dobry pomysł! — zaszczebiotała pani Lidka. — I może, Ludwiko, odrobinkę czegoś mocniejszego? Dobrze nam to zrobi. Słyszycie, jak ten wstrętny wiatr wyje? Trzeba sobie jakoś uprzyjemnić wieczór w taką pogodę, jak dziś. no nie?

— Słusznie — przytaknął Korcz. Starał się wejść w rolę bogatego i beztroskiego synka badylarza. Wiedział jednocześnie, żo jest pilnowany i śledzony od momentu, gdy zaczął poszukiwania Zofii, i to utrudniało mu trochę grę. Było już kwadrans po dziesiątej, a oni wciąż paplali. Ludwika przyniosła czarną kawę i filiżanki na starej, srebrnej tacy. oraz butelkę francuskiego koniaku.

— Wypijmy_ zdrowie gościa! — pani Lidka uniosła w górę swój kieliszek.

— O nie. protestuję! Najpierw zdrowie pięknych pan — zareplikowal szarmancko Korcz.

Albin z lubością przyjrzał się swemu kieliszkowi. — Dobry koniak nie jest zly — zauważył bystro. Złożył karty i wsunął je do drewnianej szkatułki na karty.

— Co to, nie gramy? — zdziwiła się Ludwika.

— Rozmawiamy, Ludwiko, i pan już zaczyna mnie uwodzić — powiedziała pani Lidka. — Prawda, że pan mnie uwodzi?

— Chciałbym, ale nie wiem, czy mi się uda — odparł patrząc jej przeciągle w oczy.

Albin wstał z krzesła z kwaśną miną. — Bawcie się dobrze,

moi drodzy, na mnie już czas.

— Dokąd pan się wybiera? — zainteresował się Korcz.

— Do łóżka, szanowny panie, do łóżka. Lekarz zalecił mi chodzić spać o dziesiątej. I tak nie gramy, więc...

— Widzę, że z naszego brydża nici. — Korcz poczuł ulgę.

— Czyż my się źle bawimy?— głos pani Lidki brzmiał uwodzicielsko.

— Nie pamiętam, kiedy byłem w tak uroczym towarzystwie. Gdyby nie zdradziecki strzał do pana Jana, uważałbym dzisiejszy dzień za jeden z najprzyjemniejszych w życiu.

Twarz pani Lidki zesztywniała. Na króciutki moment zapadła kłopotliwa cisza.

— To było straszne — rzekła wreszcie z wysiłkiem — ale później, gdy lekarz powiedział, że rana nie jest groźna, przestałam się martwić. Czy pan ma mi za złe, że nie zalewam się łzami?

— Problem leży gdzie indziej — rzekł. — Rana nie jest groźna, to prawda, ale tylko przypadkowi należy zawdzięczać, że napastnik chybił. Pozostaje otwarta kwestia, kto strzelał.

— Tak, to wszystko jest bardzo dziwne, ale ja zupełnie nie domyślam się, kto to zrobił... Janek nie ma aż takich wrogów.

— Nigdy nic nie wiadomo — wtrąciła się niespodziewanie Ludwika. — Janek włóczy się z rozmaitymi lafiryndami, zdradza ciebie, Lidko, ile się da, może któraś z nich...

Pani Lidka otworzyła szeroko oczy w udanym przerażeniu.

— Ludwiko, odsłaniasz przed panem moje intymne, niezbyt przyjemne sprawy! Co on sobie o nas pomyśli?

— Pomyślałem sobie, że nigdy nic zdradziłbym takiej kobiety, jak pani!...

— Dziękuję — rzekła pani Lidka.

— Albo weźmy Kazia — wtrąciła znowu Ludwika. — Ostatnio są skłóceni z Jankiem i to, jak wiecie, do lego stopnia, że Janek postanowił zmienić testament i nic mu nie

zapisać. Jaki stąd wniosek? Musieli pogryźć się na dobre!

Korcz z trudem powstrzymał uśmiech. Kwestia testamentu musiała od dawna psuć krew rodzinie.

— Mówiąc otwarcie, gdyby Janek nie podejrzewał Kazia o zamach na swoje życie, od dawna mielibyśmy tu milicję! Dlaczego nie pozwolił zawiadomić .milicji? Bo chce zatuszować wszystko, ot co!

— Nie rzucałbym tak pochopnie oskarżenia pod adresem siostrzeńca pana Jana — rzekł Korcz. — Usiłowanie morderstwa to mocna, rzecz! Czy panie zdają sobie sprawę, co by panu Kaziowi za to groziło?

— Nic miałam nigdy do czynienia z kryminalnymi sprawami. Pochodzimy z Lidką z przyzwoitej rodziny. Nie twierdzę z całą pewnością, że to Kazio. Może tu jakaś kobieta wchodzi w grę? Może Janek coś jej obiecywał i nie dotrzymał obietnicy?

Musiałaby mieć pistolet Kiliana — pomyślał Korcz — a przecież podrzucił go ktoś z nich. One coś ukrywają. — Podejrzewam, że popsułem paniom miły nastrój, strasznie przepraszam — uśmiechnął się rozbrajająco.

— Nic podobnego! — zaprotestowała pani Lidka. — Nam ta sprawa jeszcze bardziej leży na sercu, niż panu. — Głos pani Lidki brzmiał szlachetną troską, ale dlaczego Korcz dojrzał fałsz w jej zielonkawych oczach?

Jestem chyba przewrażliwiony — pomyślał. Spojrzał na zegarek. Dostrzegły to i wstały z krzeseł.

— Czas spać — powiedziała Ludwika.

— Mamy nadzieję, że nic zapomni pan o nas następnych wieczorów? — pani Lidka trzepotała uwodzicielsko rzęsami.

— Ale skądże! — wykrzyknął entuzjastycznie.

Rozeszli się w sieni. Korcz wszedł na górę. przystanął na moment przed drzwiami sypialni Kilianów, powściągnął jednak chęć wejścia do środka. — Nie bądź natrętny — ofuknął w duchu sam siebie. Znalazłszy się w swoim pokoju

zapalił nocną lampkę i rozłożył przed sobą zeszyt pani Zofii. Przeczytał następujący urywek:

14 lipca 1960 r. Przyjechałam do N. i prowadzą ich dom. Córka Szatana bawi się jak szalona, P. tyra od świtu do nocy w sklepie, tak jak ja przy gospodarstwie. Szatan ulokował się przy kasie. Wykazałam karygodną słabość charakteru godząc się żyć z takimi ludźmi pod jednym dachem i Bóg mnie za to skarze.

Na tym kończył się pierwszy zapis i Korcz strapiony wlepił ponownie wzrok w , kanciaste litery. — Kompletna wariatka — pomyślał rozczarowany. — Co to wszystko znaczy? Córka Szatana, Szatan przy kasie? — Zastanawiał się i pomyślał z nową nadziej ą, że skoro j est tam mowa o kasie, to może zapis nic j est taki wariacki, jak na .pierwszy rzut oka wygląda. Przeczytał jeszcze raz ten sam urywek.

— Ojciec Szatan przy kasie, jego córka bawi się, a ich sklep prowadzi ktoś, czyje imię albo nazwisko zaczyna się na „P". Co to ma wspólnego z Kilianem? Cholerny świat. Jeśli reszta z pamiętnika będzie zawierała same takie rewelacje...

Następny urywek pochodził z 13 listopada. Jednakże Korcz nie zdążył zapoznać się z jego treścią, bo w chwili, gdy rzucił okiem na datę, rozległo się pukanie do drzwi. Poszedł otworzyć, schowawszy przedlem pamiętnik.

Przed drzwiami stała pani Lidka z oznakami silnego wzburzenia na twarzy. — Błagam pana, niech pan pójdzie do Janka, on wygląda tak dziwnie, jakby... zemdlał, albo... albo... — załkała nagle zasłaniając twarz dłońmi.

Korcz odepchnął ją i pobiegł do sypialni Kilianów. Przyjrzał się ogrodnikowi. Kilian z daleka wyglądał na śpiącego. Leżał na prawym boku, zdrową rękę miał zgiętą w łokciu i dotykał dłonią twarzy. Korcz podszedł do łóżka i nie potrzebował sprawdzać mu pulsu, żeby zorientować się, że Kilian nie żyje. Odwrócił się gwałtownie i ze stężałą twarzą zmierzał w stronę drzwi.

— Co panu jest? Dokąd pan idzie? — Pani Lidka nerwowymi ruchami zapinała pikowany, wzorzysty szlafrok.

— Zadzwonić po milicję.

— Czy on nie żyje?

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

— Kiedy pani przyszła do sypialni?

— Przed chwilą. Zdążyłam się tylko rozebrać. — Wskazała porzuconą na oparciu krzesła sukienkę. — Popatrzyłam na niego raz i drugi... wydał mi się jakiś dziwny...

Korcz spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia minut po jedenastej.

— O której pani tu przyszła?

— Upłynęło najwyżej pięć minut od mego wejścia do sypialni, gdy spostrzegłam...

Korcz spojrzał na nocny stolik przy łóżku zmarłego. Gdy przyniósł Kilianowi kolację, stały tam jakieś szklanki, sok pomarańczowy i woda do lekarstw. Teraz na nocnej szafce było pusto.

— Kto tu sprzątał po kolacji?

— Nie wiem. Może Agnieszka. Byłam po kolacji w pana towarzystwie.

— Niech pani zejdzie ze mną na dół. Rzuciła mu szybkie, ukośne spojrzenie.

— Nie boję się mego męża — powiedziała z godnością.

— Chcę do przyjazdu milicji zamknąć sypialnię na klucz — wyjaśnił.

— Ach tak! — bąknęła speszona.

Staroświecki zegar wybijał właśnie w jadalni dwunastą, gdy major Szczygieł z Komendy Powiatowej MO polecił zgromadzić tam rodzinę Kiliana, a sam ulokował się w jego gabinecie. Genowefa dostała od Ludwiki polecenie, aby zaparzyła porządnej, mocnej herbaty, co kucharka uczyniła

niezwłocznie, acz niechętnie. Milicyjny lekarz stwierdził zgon Kiliana na skutek przyjęcia zbyt dużej dawki środka nasennego. Lekarz wezwany rano do Kiliana teraz stanowczo oświadczył, że żadnych środków nasennych choremu nie przepisywał ani nie zostawił do użycia. Tak więc po dzisiejszym nieudanym strzale do Kiliana morderca nie spoczął, lecz dokonał swego. Korcz miał jeszcze pod powiekami obraz zmarłego. Ogrodnik wyglądał na pierwszy rzut oka na głęboko uśpionego, co po jego porannych przeżyciach nie powinno wydawać się dziwne. Właściwie pani Lidka nie powinna zorientować się prawie od razu po wejściu do sypialni, że jej mąż nie żyje. — Muszę się nad tym jeszcze zastanowić, to daje do myślenia — postanowił. Zaraz po kolacji powstał projekt na partyjkę brydża i on sam siedział prawie do jedenastej w jadalni z panią Lidką, Ludwiką i Albinem. Nie. Albin opuścił ich o dziesiątej... Lekarz ustali! zgon Kiliana na godzinę dziewiątą trzydzieści do dziesiątej. Uświadomił sobie jeszcze, że przecież Kazik z żoną byli w tym czasie na górze. Agnieszka doglądała stryjka...

W jadalni panowała grobowa cisza. Pani Lidka paliła papierosa osadzonego w przesadnie długiej, srebrnej cygarniczce, i miała przy tym taką minę, jakby siedziała w poczekalni u dentysty. Korcz poczuł do niej żywą niechęć. — Za spokojna, jak na mój gust, ta świeżo upieczona wdowa. — Raptem zreflektował się.

—Czego ja właściwie od niej chcę? Stadło było niedobrane. Kilian ją zdradzał. Nawet przede mną tego nie ukrywa!. Żonie mogła zbrzydnąć już dawno taka sytuacja. Była przy nim dla pozycji, wygody, pieniędzy, ale nie z wielkiego uczucia. Nie można się dziwić. — Spojrzał teraz na Ludwikę. Była bardzo blada, ale również sprawiała wrażenie spokojnej. Za to Albin wyglądał raczej dziwnie. Miał buraczkowe wypieki na policzkach, a nawet uszy zaczerwienione. Co

chwila oblizywał wargi, jakby zasychało mu w ustach. Nagle rozległ się nieoczekiwany dźwięk w pełnej utajonego napięcia ciszy. To Kazik zaniósł się nieprzyjemnym dla uszu, suchym kaszlem.

— Przepraszam — powiedział.

Agnieszka spojrzała na męża zapłakanymi oczami. — Jesteś chory, powinieneś położyć się do łóżka — wyszeptała. Kazik zrobił coś dla Korcza zdumiewającego: uśmiechnął się do żony, ale był to uśmiech kogoś, kto został wyratowany z topieli.

— Nic mi nie jest — powiedział lekkim tonem, zaskakującym w ogólnej atmosferze jadalni. Zdumione spojrzenie Agnieszki zatrzymał się przez moment na twarzy Korcza. Jakby zarażony przez Kazika jakimś nieznanym bakcylem i on posłał Agnieszce uśmiech. Reszta obecnych spojrzała podejrzliwie na tych troje.

W następnym momencie drzwi od sieni uchyliły się i w szparze Korcz ujrzał Grybiera. Stary po śmierci Kiliana nie mógł przyjść do siebie i za wszelką cenę chciał pomóc odkryć zabójcę. Korcz odczekał chwilę i wyszedł do sieni.

Grybier pokazał mu blaszane, kwadratowe pudełko. — Mam tam rozmaite klucze. Pójdziemy teraz, póki wszyscy są w jadalni.

Korcz w milczeniu kiwnął głową. Wyszli kuchennymi drzwiami na podwórze. W zupełnych ciemnościach posuwali się wzdłuż ściany domu. Korcz czuł gwałtowne pulsowanie w skroniach, zaciskał kurczowo szczęki. Nie zwracał uwagi na wiatr chłoszczący go po twarzy i zapierający dech w piersiach. Patrzył z napięciem przed siebie, tam gdzie powinien znajdować się Grybier. Wreszcie ogrodnik zatrzymał się i błysnął latarką oświetlając mur. Pomiędzy wilgotnymi, omszałymi cegłami tkwiły niskie drzwi z omszałych desek," umocnione żelaznymi, przerdzewiałymi już, ozdobnymi sztabami. Grybier oddał Korczowi latarkę i

począł dobierać klucz do zamka. Korcz drżał z niecierpliwości i już był zdecydowany użyć łomu, który Grybier przezornie przygotował, kiedy wreszcie drzwi ustąpiły. Fala okropnego, mdlącego powietrza uderzyła ich w nozdrza. W świetle latarki najpierw dostrzegli walizki i staroświecki kufer z okuciami. Korcz wyszarpnął chusteczkę z kieszeni i przyłożył do nosa.

— Ja już idę — wymamrotał Grybier. — Nie mogę dłużej... w tym powietrzu...

— Poznajecie ją? — zapytał Grybiera urzędowym tonem.

— Tak, to ciało pani Zofii — odrzekł stary drżącym głosem.

Korcz wciąż trzymając chusteczkę przy twarzy oświetlił latarką żałosne zwłoki starej kobiety leżące wzdłuż bocznej ściany. Wilgoć panująca w loszku przyspieszyła rozkład ciała. Zamordowana była w białej, płóciennej koszuli, a na szyi miała zaciśnięty wiśniowy jedwabny pasek od szlafroka. Korcz nie czul spodziewanej satysfakcji z odkrycia. To, co miał przed oczami, było zbyt wstrząsające. Chwyciła go fala mdłości i musiał wyjść w ślad za Grybierem.

— Zamknąć drzwi? — zapytaj ogrodnik czekający na dworze.

— Tak, ale ja zabiorę klucz. Dziękuję wam, Grybier.

— Panie... j akbym dostał siekierą w łeb!

Korcz nic odpowiedział. Poczuł wielkie zmęczenie i marzył o tym. żeby się położyć, na co się jednak nie zanosiło.

Upiorne światło ponurego poranka sączyło się przez małe szybki oslrołukowych okien do jadalni, gdzie Korcz samotnie spożywał śniadanie. Wypadki minionego dnia i wieczora odbiły się w sposób widoczny na -jego twarzy. Miał czerwone z niewyspania oczy, wyglądał blado i mizernie. Kiedy o świcie przyszedł do jadalni, żeby się napić herbaty, Genowefa pochmurna, jak pogoda na dworze, podała mu olbrzymie

śniadanie.

— Gdzie reszta osób? — zapytał zdawkowym tonem.

— Pochowali się jak szczury po kątach

— odpaliła ze złością w małych oczkach.

— Nie zostanę tu za żadne skarby świata! Dwa trupy w ciągu paru dni! Panie, to nie na moje nerwy!

— Nie może pani stąd odejść, dopóki nie zakończy się śledztwo — zauważył.

— To co ja mam robić? Czekać, aż zostanę zabita?

— Pani to nie grozi — odparł, cierpliwie. — Milicja pilnuje domu. Nie sądzę, żeby miała być trzecia ofiara.

Genowefa spojrzała na Korcza z nadzieją. — Na górze przez całą noc siedział jeden, a w sieni drugi, młody, w mundurze. To oni do zakończenia śledztwa będą tak bez przerwy pilnowali?

— Nie bez przerwy ci sami! — roześmiał się Korcz. — Milicjanci to też ludzie, a nie anioły stróże. Muszą jeść, spać, mieszkać.

Wyszedł z jadalni zostawiając Genowefę w znacznie lepszym humorze. Idąc na górę natknął się w połowie schodów na Kazia. Siostrzeniec Kiliana, wbrew wszelkiej logice, wyglądał prawie beztrosko. Bez śladu zniknęła jego niedawna nerwowość.

Z czego ten taki zadowolony? Czy z tego, że Kilian nie zdążył zmienić testamentu?

— Zwłoki pańskiego stryja i pani Zofii zostały zabrane — powiedział z nutką pretensji w głosie.

— Tak, widziałem z okna naszego pokoju — odparł Kazio spokojnie, jakby chodziło o wywóz kwiatów na sprzedaż.

— Nie wygląda pan na specjalnie zmartwionego dwoma trupami w rodzinie! — nie wytrzymał Korcz.

— Cóż, widać nie mogę bez przerwy się martwić. Nagryzłem się dosyć jeszcze przed śmiercią stryja.

— Przed morderstwem — skorygował Korcz surowo.

— Niech panu będzie, przed morderstwem.

— Na pana miejscu nie byłbym taki zrelaksowany. Jest pan prawdopodobnie głównym podejrzanym o zamordowanie swego stryja.

— Taak? To pan jest prawdopodobnie bardzo źle poinformowany.

Nie zdenerwował się nawet agresywnością Korcza. Zbiegł ze schodów i zniknął w sieni.

- Zachowałem się jak idiota — skarcił Korcz samego siebie. — Nie powinienem mówić mu tego wszystkiego. Wyprowadził mnie bydlak z równowagi. — Jednak podejrzewał Kazia.

Wszedłszy do swego pokoju wyjął pamiętnik zamordowanej. Pełen dręczących wątpliwości przerzucał strony zeszytu, by wreszcie powrócić do pierwszej kartki. Druga jej strona nosiła datę 15 października 1960 r.

Sprawdzają się moje złe przeczucia — przeczytał. — P. jest bardzo chory. Odwieziono go dzisiaj do szpitala.

— Kto to może być ten P.? — zastanowił się Korcz.

Pani Zofia napisała dalej pod datą 10 stycznia 1961 r.

P. zmarł, i Córka Szatana musi pracować w sklepie. Nie jest tym zachwycona i ustawicznie kłóci się z Szatanem, Chodzą codziennie na cmentarz. Nie pomyślano o żadnym pomniku. Tak oto Pan karze spóźnione chucie.

Korcz przerwał na chwilę lekturę, aby zapalić papierosa. — A gdyby tak pokazać ten pamiętnik majorowi? — naszła go myśl. — Nie, bo może te zapiski okażą się bezwartościowe i pogrążę się w jego opinii jeszcze bardziej. — Zagryzł wargi. ? —? Kto to jest P? Dlaczego Pan karze chucie? — Rzucił okiem na tekst. Spóźnione chucie — odczytał. A więc P. był starszym człowiekiem. Oddawał się rozpuście? Chyba nie. Pani Zofia potępiłaby go bezapelacyjnie. A przecież było wprost odwrotnie, darzyła go pewną sympatią, chodziła na cmentarz modlić się nad jego grobem. Jak to wytłumaczyć?

Kto był obiektem jego spóźnionych chuci?

— Korcz skrzywił się. — Też mi nomenklatura — „chuć". Kto w końcu był obiektem jego pożądania? Pożądanie tego P. jako takie nie zostało przez panią Zofię potępione, zrobiła ona tylko zarzut, że było spóźnione, niestosowne w starszym wieku. więc... Co to jest, spóźnione, dozwolone pożądanie? Olśniła go nagła myśl.

— Czyżby?! Małżeństwo starego dziada z młodą dziewczyną! P. i Córka Szatana byli małżeństwem? To by pasowało. P. stary, pewnie schorowany, po zawarciu małżeństwa umiera" dobijając się spóźnionym afektem. Kim jest wobec tego Szatan? Zajmował się kasą, musiał więc być kimś z rodziny. Obcym nie powierza się forsy. Jedźmy dalej — powiedział sobie Korcz.

13 października 1961 r. Sklep i dom sprzedane. Przeprowadzamy się do innego mieszkania. Niedługo będzie rocznica śmierci P. Nie spodziewam się, aby o tym pamiętano.

10 grudnia 1961-r. Córka Szatana dała ogłoszenie matrymonialne do gazety! Bezwstyd tej grzesznicy nie ma granic. P. przewraca się na pewno w grobie.

17 stycznia 1962 r. Przyjechał konkurent do Córki Szatana! Siedemdziesiąt lat z okładem! Ma podobno willę wartą pól miliona i jakieś prywatne przedsiębiorstwo.

30 stycznia 1962 r. Sprawy posuwają się szybko naprzód. Dziadyga oświadczył się i został przyjęty. Dreszcz mnie przenika, gdy pomyślę, jak się to wszystko skończy. Prawdopodobnie będziemy się znów przeprowadzali. Do tej willi za pól miliona.

11 lutego 1962 r. Ślub odbyt się w Urzędzie Stanu Cywilnego, prawie po kryjomu. Grzech nie lubi wystawiać się na pokaz.

Ja, chociaż stara, też bym wstydziła się pompy w kościele z siedemdziesięcioletnim grzybem. I tego Bóg pokarze.

4 kwietnia 1962 r. Odkąd mieszkamy w willi N., goście nie wychodzą z domu. Nocami nie ma spokoju. Wybijam się ze snu przez te, nocne libacje i tańce. N. dotrzymuje kroku Córce Szatana, jakby i w niego diabeł wstąpił. Pije na umór i pochłania olbrzymie masy jedzenia.

15 lipca 1962 r. N. jest chory. Zmogło go to nieustanne pijaństwo, żarcie i rozpusta. Był dzisiaj lekarz i zalecił mu ścisłą dietę. Ciekawam, jak długo oni oboje obejdą się bez gości i bez libacji.

9 grudnia 1962 r. Obserwuję z niepokojem. N. Jest coraz grubszy i coraz czerwieńszy na twarzy. Dieta przepisana mu przez lekarza poszła w zapomnienie. Szatan dysponuje w kuchni same niezdrowe, ciężko -strawne dania. Przychodzi mi czasem na myśl, czy to nie umyślna, zaplanowana gra, której stawką jest,..

14 maja 1963 r. Nie posiadam się z oburzenia na N. Delikatnie dałam mu do zrozumienia, że prowadzi bardzo niezdrowy tryb życia i własnoręcznie kopie sobie grób. Wyśmiał mnie. Czy warto rzucać perły przed wieprze?

20 lipca 1963 r. N. i Córka Szatana mieli jechać za granicę, ale nic z tego nie wyszło. N. tym razem jeszcze ciężej zachorował i trafił do szpitala, zamiast szastać się po zagranicach.

18 września 1963 r. W. zmarł dzisiaj rano na wylew krwi do mózgu. Sam przygotował swoją śmierć.

2 października 1963 r. Byłam dzisiaj na cmentarzu. N. leży obok P.. Odmóiciia7;i modlitwy za spokój ich dusz.

1 grudnia 1963 r. Do naszej willi coraz częściej zagląda sąsiad, dziadyga jeszcze bardziej zramolaty niż N. Grzyb ma dorosłe dzieci i wnuki, ale zaczyna tracić głowę dla Córki Szatana! Nie wiem, co mam robić, jak nie dopuścić do trzeciego pogrzebu? Jestem bezradna.

13 lutego 1964 r. Sąsiad zaręczył się z Córką Szatana! Czuję cmentarny zapach ty całym domu. S. jest bogaty.

23 kwietnia 1964 r. Znowu ślub! Jeszcze nie skończyła się żałoba po N.! Ludzie są zgorszeni i słusznie! Szatan dopilnował, aby S. część majątku przepisał na Córką Szatana.

2 lipca 1964 r. Córka Szatana i S. wyjechali nad morze. Szatan zabrał się z nimi. Wcale mi się to nie podoba. Wczoraj ni z tego, ni z owego pękła mi w ręku szklanka z zimną herbatą. Zły to omen.

17 lipca 1964 r. Szykujemy sie do pogrzebu S. Tak, S. nie żyje. Wypadł z łódki do morza i utonął. Podobno nieszczęśliwy wypadek.

1 listopada 1964 r. Uciekłam z cmentarza, ledwie zdążyłam świeczki zapalić. Byłam przy grobie N., kiedy ludzie zaczęli koło mnie przystawać ze znaczącymi minami. Córka Szatana nigdy nie odwiedza swoich nieboszczyków na cmentarzu. Już teraz wiemy dlaczego.

— Panie Stefanie! — Zza drzwi dobiegł głos pani Lidki.

Korcz schował zeszyt do kieszeni marynarki i otworzył drzwi.

— Stało się znowu coś? — zapytał podejrzliwie. Pojawienie się pani Lidki u jego drzwi nie wróżyło, jak dotąd, nic dobrego.

— Ludwika! — jęknęła załamując dłonie. — Ktoś zabił Ludwikę!

— Co takiego?! Gdzie ona jest?

— U siebie w pokoju!

— Zawiadomiła pani o tym majora? Pokręciła przecząco głową. — Przyszłam do pana. żeby pan im sam powiedział... ja... ja... nie mogę. Co oni sobie o nas pomyślą? Trzeci trup! Nie przeszłoby mi przez gardło...

— Dobrze, niech pani mnie tam zaprowadzi !

Odwróciła się bez słowa i poszła przodem. Podążył za nią. klnąc w duchu, ile wlezie.

Nigdy nie skończę tego pamiętnika — pomyślał. — Zanim dobrnę do ostatniej strony, nikt tu chyba żywy nie

pozostanie. — Nie był jeszcze w tej części domu. Korytarz równoległy do tego, którym wchodziło się do pokoju Grybiera i Genowefy, był jednocześnie przedpokojem. To tutaj mieszkali Ludwika i Albin. To tutaj w wieczornym mroku wszedł ktoś. kogo Korcz nie rozpoznał. Teraz był prawie pewien, że tajemniczą osobą był Albin.

Pani Lidka zatrzymała dłoń na klamce wąskich, biało lakierowanych drzwi. — Ja tam nie wejdę. — Glos się jej załamał.

Skinął głową na znak zgody. Wszedłszy do Ludwiki drgnął zaskoczony. Otoczyła go nagle atmosfera dziewiętnastowiecznego, bogato urządzonego buduaru, zupełnie nie pasującego do osoby Ludwiki. Siostra Kilianowej leżała w pozie osoby śpiącej. Uderzyło go. że wyglądała podobnie, jak Kilian po zatruciu. — Znowu środki nasenne? — Uważnie przyjrzał się brzydkiej, żabiej twarzy. Coś w wyglądzie tej twarzy zastanowiło go. Ujął dłoń spoczywającą na kołdrze. Puls bil słabo, ale bił! Wypadł pędem z pokoju, nie zwracając uwagi na czekającą przed drzwiami Kilianową. Major wytrzeszczył na niego zdumione oczy, gdy zdyszanym głosem zażądał natychmiastowego wezwania lekarza.

— Co? Co pan wygaduje? — zaniepokoił się blednąc.

— Chyba nowe morderstwo! — powiedział Korcz.

— Co takiego?! Kto?!

— Ludwika, siostra Kilianowej. Major zerwał się zza biurka.

— Ona jeszcze żyje — wyjaśnił szybko Korcz. — Natychmiast potrzebny jest lekarz.

— Oczywiście — powiedział major z przejęciem, sięgając po słuchawkę.

Kiedy po przyjeździe lekarza okazało się, że siostra Kilianowej będzie żyła, Korcz postanowił zabrać się z

majorem do miasta. Major trzymał się na ogół dobrze, ale choć widać było. że ma świetną kondycję fizyczną, znużenie zaczęło go powoli zmagać. Patrzył przekrwionymi z niewyspania oczami na Korcza częstując go papierosem z nowo zaczętej paczki. Samochód wyjechał właśnie z obrębu posiadłości Kiliana na publiczną szosę.

Korcz pokręcił odmownie głową. — Dziękuję. Wypaliłem przez ostatnie parę godzin tyle papierosów, że czuję mdłości na sam ich widok.

— A mnie zaczyna się robić niedobrze, gdy patrzę na kogoś z rodziny Kiliana — odparł major z grymasem obrzydzenia.

— Przewiduje pan następne ofiary? — zapytał Korcz.

— Żebym wiedział, dałbym panu teraz tysiąc złotych, no nie. pięćset, powiedzmy.

Roześmiali się obaj.

— Co pan myśli o siostrzeńcu Kiliana? — Korcz postanowił wybadać nareszcie Szczygła, poznać jego zdanie na len temat.

— Ten picuś? On jest chyba w porządku. Sprawdziliśmy już cześć jego zeznań i jak dotąd, przynajmniej w siedemdziesięciu procentach, jestem przekonany, że mówi prawdę. A pan jego podejrzewa?

Korcz uśmiechnął się niepewnie. W świetle notatek pani Zofii zaczynały opadać go wątpliwości, czy Kazio ma w aferze Kilianów jakąś rolę.

— Początkowo myślałem, że jest głównym podejrzanym — wyznał z wahaniem.

— A teraz? — Szczygieł uśmiechnął się jakby trochę ironicznie.

— Cóż, nie wiem... Cała historia jest bardzo specjalna... Ciekawe, dlaczego morderca dybie również na Ludwikę — zastanawiał się.

Major zrobił nieprzeniknioną minę i nie podjął tematu.

On chyba jest na jakimś tropie — pomyślał Korcz — i nie chce się chytrus przyznać. Niech mu będzie. Muszę wreszcie

skończyć lekturę pamiętnika. Morderca jest tam jasno określony. Jeszcze parę stron zapisków… i zyskam pewność.

— Mam do pana prośbę, majorze — powiedział głośno.

— Słucham?

— Chciałbym mieć możliwie najszybciej dane o rodzinie Kilianowej, rodzicach, krewnych, jej poprzednim miejscu zamieszkania i tak dalej.

— Dobrze. Załatwię to panu. Widzę, że ma pan duże zastrzeżenia do pięknej wdówki. No cóż, życzę powodzenia.

Rozstali się przed budynkiem poczty, gdzie Korcz wysiadł.

— Dzień dobry! — powiedział Korcz. Grybier umył właśnie twarz i wycierał ją lnianym, szorstkim ręcznikiem. Byli w kantorku przy cieplarni. — Mówił pan, że nie było pana tutaj, gdy strzelano do Kiliana, ale to nieprawda. Skłamał pan. Dlaczego? — Korcz nie patrzył na starego.

Grybier poszarzał na twarzy.

— Taka krzywda — powiedział cicho — taka krzywda mnie spotyka, i to kto mi ją wyrządza, pan?

— Niech pan nie będzie dzieckiem! — ofuknął go Korcz. — Widzi pan, co się w tym domu dzieje. W takiej sytuacji wszyscy są podejrzani, a pan nie jest żadnym wyjątkiem! — Był rozmyślnie szorstki, bo jakoś głupio mu było podejrzewać Grybiera, ale po tym, co mu powiedziała Genowefa, gdy wrócił z miasta, nie mógł nie wyjaśnić lej sprawy ze starym. —.Kucharka poszła do garażu po jakiś drut. Ustaliłem, że było to na jakieś dwie minuty przed strzałem. Szukała drutu na półce z narzędziami i wreszcie znalazła odpowiedni kawałek. W końcu doszła do wniosku, że weźmie cały zwój. Zaniosła go do kuchni i tam go przed chwilą zobaczyłem. I co teraz pan powie?

— Ze baba całkiem zgłupiała! — wybuchnął Grybier. — Licho ją wie, kiedy ona rzeczywiście była w garażu!

Domyślam się, po co Genowefie był potrzebny drut. Grzebała w starych doniczkach w cieplarni. Wpadła jej w oko jedna, taka większa, ale była nadpęknięta. Może wzięła ją sobie.

— Owszem, wzięła. Ale mnie nie o to chodzi. — Korcz usiadł na krześle i założył nogę nu nogę. — Porozmawiajmy spokojnie — powiedział wygrzebując z kieszeni paczkę papierosów. — Miał pan jakiś powód, żeby skłamać, w porządku, nie będę o to robił kwestii. Jeszcze jest czas, aby ten błąd naprawić. Niech mi pan powie, gdzie pan był naprawdę w czasie zamachu na życie Kiliana?

Grybier milczał.

— Panie Grybier, Genowefa powiedziała, że... wóz stał w garażu nie umyty!

Grybier wymamrotał pod nosem coś niezbyt pochlebnego dla kucharki i rozłożył ręce.

— Niech tam, powiem panu, jak to było. Teraz, gdy Janek nie żyje, i tak to nie ma znaczenia. Wyszedłem stąd. z kantorku, po to, żeby umyć samochód, bo zachlapałem go poprzedniego dnia na szosie. Ale rzecz w tym, że byłem przemarznięty jak diabli i miałem katar, więc przypomniałem sobie o butelczynie, która stała u mnie w mieszkaniu. Pomyślałem: wyprowadzę wóz na dwór do kranu, to i przeziębię się do reszty, zanim go umyję, więc poszedłem do siebie, łyknąłem, zagryzłem i dopiero wtedy wziąłem się do mycia wozu. To cała prawda, proszę pana. Nie chciałem tego mówić, bo było mi głupio. Do niego strzelano, a ja chlałem w tym czasie... — Grybier skończył i przełknął ślinę.

Korcz wyciągnął do ogrodnika rękę z paczką papierosów. Pomyślał, że to, co powiedział stary pijus, miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa. — Czy ojciec Kilianowej żyje jeszcze? — zmienił nagle temat.

—Nigdy nie słyszałem o ojcu Kilianowej — odparł Grybier zaskoczony. — Wiem, że matka Kilianowej wcześnie zmarła.

— Kto ją wychował w takim razie?
— Chyba Ludwika. Jest starsza od niej o dobre piętnaście lat, a może i więcej.
— To by się zgadzało — mruknął Korcz do siebie.
— Jak Kilianowa wyszła za Janka, przyjechały tu obie z Ludwiką.
— A Zofia? — Korcz z napięciem czekał na odpowiedź.
— Zofia? Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę. Przyjechała z nimi i Zofia.
— Nic z tego nie rozumiem — westchnął Korcz.
— Potrzebny jest panu ojciec Kilianowej?
— Tak, nawet bardzo. Od tego ojca zależy cale śledztwo.
— Co pan mówi? Teraz to ja całkiem zgłupiałem — rzekł Grybier. Patrzył na Korcza pękając z ciekawości. — Nie przypuszcza pan przecież, że to ojciec Kilianowej strzelał do Janka? Gdyby żył, byłby to stary dziad, przecież Ludwika jest już starawa...
Korcz poklepał Grybiera po ramieniu.
— Ma pan rację! —zawołał. — Ojciec miałby teraz siedemdziesiąt z okładem!
— Nigdy nie słyszałem o żadnym ojcu — powtórzył Grybier raz jeszcze.
— Nic nie szkodzi. Zostawmy na razie tego ojca. — Korcz wstał i począł zapinać na sobie kurtkę.
— Jest pan na tropie?
— I tak, i nie — odrzekł Korcz wymijająco.

Na spóźnionym obiedzie byli wszyscy z wyjątkiem chorej Ludwiki. Pani Lidka, blada i jakby szczuplejsza w czarnej sukni, zachowywała się z rezerwą i milcząco. Albin pozbył się swego szalika nu rzecz kożuchowej kamizelki włożonej na ciepły sweter. Kazik w ciemnym garniturze i białej koszuli wyglądał elegancko i promieniał wewnętrznym

zadowoleniom, co coraz bardziej zaczynało Korcza denerwować. Kiedy ja wreszcie przeczytam zapiski pani Zofii? — pomyślał nachmurzony. — Teraz, zaraz po obiedzie — postanowił sobie twardo. — Może tym razem wreszcie nic mi nie przeszkodzi.

Przypomniał sobie przygody „Córki Szatana" i nagle omal nie parsknął niepohamowanym śmiechem. Wyjął chusteczkę do nosa i z trudem udało mu się stłumić niewczesną wesołość. Zobaczył w wyobraźni cmentarz opisany przez Zofię. — Przecież tam są trzy mogiłki w jednym rządku! — siłą tłumiony śmiech wycisnął mu łzy z oczu. Pochwycił podejrzliwe spojrzenie Albina utkwione w swojej twarzy. Pani Lidka raptem odsunęła krzesło i wstała od stołu. Powiedziała, że źle się czuje i musi się położyć. Przez jakieś szczeliny w oknach, choć wydawało się to na pierwszy rzut oka niemożliwe, wiatr wciskał się do wnętrza pokoju, wydymał portiery i poruszał liśćmi palmy stojącej w sąsiedztwie szafkowego, antycznego zegara. — Brr, ten dom powinien nazywać się „Straszny Dwór". „Klasztor" to zupełnie nieodpowiednia dla niego nazwa — pomyślał Korcz. — Albin poczuł widocznie przeciąg mimo cieplej kamizelki, bo zaczął kasłać, demonstrując raz jeszcze wątłość swego cennego organizmu. Jednak Korcz usłyszał strzał. Zastygł w pierwszej sekundzie ze zdumienia i zaraz potem zerwał się od stołu. Agnieszka wydała przenikliwy krzyk. Kazio gwałtownie wstając ze swego miejsca przewrócił krzesło i spojrzał pytająco na obecnych. Prawie jednocześnie z Korczem dopadli drzwi jadalni. Korcz spojrzał w kąt sieni, gdzie stał fotel dla dyżurującego tu kaprala. Fotel był pusty.

— Gdzie do cholery ten się podział? — wrzasnął.

— Pewnie je obiad w kuchni — zauważył rzeczowo Kazio.

— No tak, i ktoś ten moment wykorzystał, żeby... — nie dokończył zdania, bo akurat przeniósł spojrzenie ku schodom i zobaczył na nich panią Lidkę. Trzymała się

kurczowo obu dłońmi poręczy, jakby broniąc się przed upadkiem. Podtrzymali ją obaj z Kaziem.

— Co pani jest? Zraniono panią? — Korcz zachrypł ze zdenerwowania.

— Nie — wyszeptała. — W sypialni ktoś był... i strzelił do mnie, gdy otworzyłam drzwi! — Oddychała szybko, nerwowo, na jej pobladłej twarzy ukazały się kropelki potu.

Korcz ścisnął ją mocno za ramię. — Niech się pani opanuje — rozkazał przez zaciśnięte zęby. — Skoro nic się pani nie stało, proszę pójść z nami i pokazać, jak to się odbyło.

— Boję się! — próbowała się bronić.

— Chodźmy! — szarpnął ją nieustępliwie za rękę. Kazik szedł z nimi w kierunku sypialni.

— Kto to był?

— Nie wiem, w sypialni przecież było ciemno. To ja stałam w świetle, w otwartych drzwiach.

— Nie weszła pani do środka?

— Nie. Zdążyłam tylko, otworzyć drzwi.

— I wtedy od razu padł strzał?

— Tak.

— To dziwne.

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi - Korcz wskazał ciemną czeluść otwartego pokoju.

— Gdzie jest kontakt?

—Tuż przy drzwiach po lewej stronie. Nacisnął guzik kontaktu i oczom ich ukazał się straszliwy bałagan panujący w sypialni. Okno było otwarte na oścież, wiatr porywał pierze sypiące się z rozprutych poduszek i unosił je w powietrzu. Z wnętrza otwartej szafy wyrzucono na środek pokoju prawie wszystkie ubrania, bieliznę. Szuflady nocnych stolików były porzucone na podłodze, gdzie ich zawartość zmieszała się z zawartością szufladek toalety.

— Zamknę okno — powiedział Kazio zacinającym się

głosem.

— Nie. Niech pan nie wchodzi do środka! — ostro zaprotestował Korcz.

Pani Lidka oparła się bezsilnie o framugę drzwi.

Korcz wbił przenikliwe spojrzenie w jej twarz, a potem, gdy zmieniła pozycję, począł się przyglądać jej czarnej sukni.

— Wygląda to na napad rabunkowy — zauważyła słabym głosem.

— Janek uchodził w okolicy za milionera. Może szukano pieniędzy...

Korcz skrzywił się, jakby połknął muchę.

— Niech pani oczyści swoją suknię, jest zapierzona — powiedział znaczącym tonem.

— Co takiego?! — pani Lidka spłonęła krwawym rumieńcem. Zniknęła raptem jej omdlałość, spojrzenie nabrało ostrości. — Chyba teraz trzeba szukać bandyty, a nie zajmować się moją suknią! — odparowała.

— Twierdzi pani, że nie wchodziła do sypialni, skąd więc to pierze na wdowiej kreacji?

— Przecież okno otwarte. Nie widzi pan, że pierze fruwa? ,

— My z panem Kaziem nie mamy pierza na ubraniu, chociaż również stoimy w otwartych drzwiach. Po co pani zaaranżowała tę komedyjkę? Gdzie pistolet? Co pani z nim zrobiła?

—Ten człowiek oszalał! — wykrzyknęła z oburzeniem. — Kaziu! Jesteś świadkiem! Zaskarżę pana do sądu o zniesławienie! — krzyczała zaskakująco ordynarnym głosem i zaraz potem zaczęła płakać. — To stanowczo za wiele dla mnie! Proszę się nie mieszać do cudzych spraw, jak nic potraficie nic zrobić w obronie bezbronnej kobiety!

— Nie da się niestety ukryć, że wchodziła pani do sypialni. Jeśli nie upozorowała pani napadu na siebie, to dlaczego pani kłamie?

— To, co powiedziałam, jest prawdą! Wstydziłby się pan,

panie Stefanie! — spojrzała na niego trochę błagalnie, trochę z ostrożną kokieterią.

Odsunął się od niej. — Proszę pokazać, gdzie pani stała, gdy do pani strzelono! — rozkazał.

Posłusznie stanęła w otwartych drzwiach.

— Tu!

Podszedł do przeciwległej do drzwi ściany. Uważnie przyglądał się powierzchni muru na korytarzu.. Teraz wziął Kazia na świadka.

— Niech pan spojrzy, pani Kiliunowa twierdzi, że stała w otwartych drzwiach sypialni, gdy do niej strzelano. Gdzie pana zdaniem powinna znajdować się kula, skoro napastnik chybił?

Kazio spoglądał to na Korcza, to na ścianę.

— Ma pan rację, powinna utkwić w tej ścianie — przyświadczył.

— Widzi pan gdzieś naruszoną ścianę?!

— Nie — rzekł Kazio po chwili.

— Otóż to! Kula powinna być w ścianie, ale nie jest, bo pani Kilianowa mówi nieprawdę! Strzeliła pani do otwartego okna. prawda?

Pani Lidka, blada jak trup, przyglądała się Korczowi rozszerzonymi z trwogi źrenicami.

— Dość tego! Całe szczęście, że nie muszę odpowiadać na pana idiotyczne insynuacje! Nie ma pan prawa do prowadzenia tutaj swojego prywatnego śledztwa.

Korcz wyjął z kieszeni służbową legitymację i podsunął jej pod nos.

— Jestem oficerem milicji — powiedział widząc, że odwróciła głowę.

— Też Janek miał znajomości! — prychnęła wzgardliwie usiłując zachować spokój.

— Nie byłem żadnym znajomym pani męża, jeśli to panią pocieszy — odparł niedbale.

— Jak to, więc oszukiwaliście mnie jakąś bajeczką o przyjaźni Janka z pana ojcem z czasów okupacji?

— To nie bajeczka. Z tą różnicą, że pani mąż przyjaźnił się w partyzantce z moim obecnym szefem, a nie ojcem. Panic Kaziu, niech pan sprowadzi tu kaprala, tylko szybko!

Siostrzeniec Kiliana posłusznie pomknął ku klatce schodowej.

— Chce mnie pan aresztować? — zapytała pani Lidka szarpiąc nerwowo maleńką chusteczkę do nosa.

— Decyzję w tym względzie zostawię majorowi — odpowiedział surowym tonem.

— Jeszcze raz powtarzam, wszystko, co powiedziałam, jest prawdą! Nie mam pojęcia, gdzie powinna być teraz kula, faktem jest natomiast, że strzelano do mnie!

— Jak wobec tego uciekł napastnik? Którędy?

— Byłam tak oszołomiona...

— Ze nie zauważyła pani nikogo? Niech się pani nie ośmiesza.

— Nie twierdzę przecież, że gdyby napastnik koło mnie przechodził czy uciekał, nie widziałabym go. Może uciekł oknem.

— Skacząc jak kot z piętra? Ma pani pecha. Bywałem nieraz w tej sypialni u pani męża i proszę mi wierzyć, rozejrzałem się dokładnie. Obawiałem się zamachu na niego i moim obowiązkiem było zanotować sobie w pamięci to i owo. Z okna sypialni nikt nie wydostanie się na zewnątrz, chyba samobójca... Dom stoi na nierównym gruncie, tu jest tak wysoko, jakby to było drugie piętro, a nie pierwsze, i to wysokie drugie piętro. Nie ma balkonu, rynny obok okna, drabinki przeciwpożarowej, drzewa ani niczego takiego, po czym normalny człowiek mógłby zejść. Z pewnością mieszkając tu zauważyła to pani? — Przebiegł sypialnię i wyjrzał przez okno. Pomyślał mimochodem, że na małym gwoździu, sterczącym poniżej zewnętrznej strony parapetu,

nikt nie zdołałby uwiązać liny do opuszczenia się po niej w dół, ale...

— Przyprowadziłem kaprala — powiedział Kazio ode drzwi.

Korcz wrócił na korytarz. — Niech pan tym razem rozgości się tutaj

— powiedział do kaprala, który z zaczerwienionymi z wrażenia uszami przyglądał się zdemolowanej sypialni. — Przypilnujcie, niech nikt tam nic wchodzi. Pani Kilianowa twierdzi, że strzelano do niej. Nie widział pan nikogo podejrzanego wewnątrz domu albo na zewnątrz?

— Dopóki było widno, penetrowaliśmy teren w pobliżu zabudowań. Niczego podejrzanego nie zauważyliśmy. Potem siedziałem w sieni cały czas...

— Dopóki nie poszliście na obiad...

— Jak to? — oburzył się kapral. — Zostawiłem na ten czas Matyjaska w sieni.

— Gdy przed paroma minutami szedłem na górę, nikogo w sieni nie było.

— Może stał przed frontowymi drzwiami. On już taki jest. Nie lubi tkwić na jednym miejscu. O, właśnie idzie!

Matyjasek wyłonił się z klatki schodowej i grupka zebrana obok sypialni odniosła wrażenie, że stosunkowo niski korytarz jest cały wypełniony drugim kapralem. Było to wielkie, zwaliste chlopisko o szerokich barach. — Jest telefon od majora — oznajmił dudniącym basem.

— Już idę! — zakręcił się Korcz. — Gdzieście chodzili przed chwilą?

Wielkolud otworzył szeroko zdumione oczy. — Ja? Nigdzie, Stałem tylko chwilę przed sienią na dworze...

— Długo trwała ta chwila?

— Cztery albo pięć minut.

— Nie słyszeliście wystrzału? Wielkolud zaczerwienił się z wrażenia.

— Nie! A co się właściwie tutaj stało? Korcz machnął ręką.

— Duch z zaświatów usiłował zastrzelić tę panią — powiedział sarkastycznym tonem.

Pani Lidka zdążyła już ochłonąć i zrobiła teraz obrażoną minę.

Korcz zbiegł szybko po schodach w dół. Major trochę się przespał i nie wstając z tapczana sięgnął po aparat telefoniczny. Chciał się dowiedzieć, co słychać w „klasztorze", jak powiedział Korczowi na wstępie. Korcz rozejrzał się nieufnie po gabinecie i zniżył głos.

— Pani Kilianowa twierdzi, że strzelano do niej... Sypialnia Kilianów zdemolowana, poduszki poroz- pruwane... wszystko to wygląda bardzo nieprzekonywająco. Podejrzewam, że babka sama to upozorowała. Możliwe, że czuje się zagrożona i chce odwrócić od siebie podejrzenia... Nie, nikogo obcego nie było w pobliżu. Zachowanie Kilianowej wydaje mi się w najwyższym stopniu podejrzane. Dlaczego? Twierdzi, że nie wchodziła do sypialni, gdy rzekomy napastnik do niej strzelał, a ma pierze z rozprutych poduszek na sukni... Dobrze. Czekam na pana. Tak. wasz człowiek pilnuje sypialni.

Odłożył z lekkim trzaskiem słuchawkę na widełki. Zmarszczył czoło. — Cholerny świat! Nikt by nie uwierzył, że nie mogę wykroić trochę czasu na przeczytanie pamiętnika pani Zofii do końca, a przecież przede wszystkim to powinienem zrobić, bo inaczej wyjdę na skończonego durnia.

— Pomyślał, że znowu przyjedzie major, fotograf, ekipa techniczna i cały kram, wciągną go w nie kończące się wyjaśnienia, gadaninę, czas będzie płynął niepostrzeżenie, aż do... następnego morderstwa.

— Żebym miał trupem paść, ja ten pamiętnik dokończę i to w najbliższym czasie — postanowił.

W pokoju czuć było wilgoć i nie było za ciepło. Wyjął kurtkę

z szafy, narzucił ją na plecy i zabrał się do czytania. Nie chciał teraz myśleć o majorze i jego protestach, kiedy twardo mu oznajmił, że musi na jakiś czas zniknąć w swoim pokoju. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki trochę już wymięty zeszyt. — Na czym to ja skończyłem? Pierwszy listopada 1964 r. Pani Zofia odnotowuje swoje wrażenia z cmentarza. I od razu 10 października 1966 r.? Dwa lata przerwy? Widocznie przez te dwa lata nie działo się nic ciekawego. No więc 10 października 1966 r.

Mamy willę w Sopocie! Szatan i Córka Szatana cieszą się ze zmiany. Córka Szatana nie nosi żałoby. O trzech nieboszczykach tylko ja myślę i odmawiam modlitwy za spokój ich dusz. Szatan powiedział dzisiaj podczas kolacji, że latem willa będzie wykorzystana jako pensjonat dla wczasowiczów. Snując te plany patrzył na mnie, z czego wnioskuję, że są one nierozdzielnie związane z moją skromną osobą.

Jestem w ogóle zaskoczona, ze Szatan w ogóle myśli o zarabianiu pieniędzy. Do tej pory żyjemy ze spadków i to wcale nieźle. Może koniec z mężami? Obym się tylko nie zawiodła, Nauczona doświadczeniem, ani trochę im nie wierzę.

15 maja 1967 r. Wczoraj malarze skończyli odnawianie pokoi. Pierwszego czerwca zjadą do nas goście. Mamy kucharkę i dwie podkuchenne oraz dwie pokojówki. Zażądałam wyższej pensji. Szatan nie sprzeciwił się. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

2 czerwca 1967 r. Patrzę i szeroko otwieram oczy ze zdumienia. Córlca Szatana kupiła sobie płócienną sukienkę w bardzo dobrym guście i słomkowy kapelusz z szerokim rondem i zabrała się do pracy przy kwiatach w ogrodzie. Codziennie rano można ją teraz oglądać przy pielęgnacji krzewów, trawników i podlewaniu rabat. Wczoraj przyjechali pierwsi goście. Rano miałam »niemiłą przygodę. Nie

wiedziałam, że łazienka jest zajęta przez Szatana i weszłam do niej. Znowu zobaczyłam tę potworność, te szatańskie kopyta zupełnie odsłonięte. Zawsze doznaję wstrząsu, ilekroć je oglądam. Wycofałam się spiesznie, ale Szatan i tak był wściekły.

30 czerwca 1967 r. Dzisiaj rano został zajęty ostatni wolny pokój. K. ma około sześćdziesięciu lat. Podobno bardzo bogaty. Przyjechał swoim samochodem, który stoi na podwórzu przed kuchennym wejściem.

15 lipca 1967 r. Nareszcie zaczynam wszystko rozumieć! Znowu uknuto jakiś chytry plan! Wracałam rano z miasta i spotkałam ich oboje w ogrodzie. Nie tyle spotkałam, gdyż nie widzieli mnie, zajęci rozmową, ile słyszałam niechcący gruchanie Córki Szatana. Siedzieli na ławce otoczonej z trzech stron krzewami bzu. Od razu domyśliłam się, że Córka Szatana uwodzi nie kogo innego, tylko osobnika z samochodem, które to indywiduum zajęło u nas najładniejszy pokój.

— „Uwielbiam kwiaty" — mówiła — „dlatego je sama pielęgnuję". — Co za fałsz! Nigdy przedtem Córka Szatana nie zajmowała się kwiatami. Któż, jak nie ja, sadził kwiatki na trzech zmarłych mężach?

Korcz parsknął śmiechem i zrzucił z siebie kurtkę, bo zrobiło mu się nagle gorąco. — A więc nareszcie!

— pomyślał podekscytowany. Mam wypisane czarno na białym! Ta cała Córka Szatana to... — Zerwał się z krzesła i odtańczył na środku pokoju coś w rodzaju tańca wojennego. Z błyszczącymi oczami wrócił na miejsce przy lampie. — Gdyby mnie tak major Szczygieł zobaczył przed chwilą, pomyślałby, że zwariowałem — przemknęło mu przez głowę.

Spojrzał na rozłożony zeszyt i cichutko zachichotał. — Swoją drogą, ta biedna pani Zofia miała osobliwy sposób formułowania myśli! Sadziłam kwiatki na trzech zmarłych mężach! Zagryzł wargi, żeby nie roześmiać się na głos i

rozgorączkowany, drżąc z niecierpliwości czytał dalej:

...Na to K. odpowiedział, że doskonałe się składa, bo oboje mają wspólne zainteresowania. On także interesuje się kwiatami prywatnie i zawodowo, jako że jest inżynierem ogrodnikiem i hoduje najpiękniejsze róże, o jakich można marzyć. Dalszego ciągu nie słyszałam, ale sama mogę sobie dośpiewać resztę. Wszystko rozwija się tak, jak ze starcami, tylko jeszcze bardziej perfidnie. Widocznie gra idzie o stawkę wyższą niż kiedykolwiek.

29 lipca 1967 r. Wierzę, że ktoś kiedyś znajdzie ten zeszyt i sprawiedliwości stanie się zadość, bo Najwyższy trzyma w swej dłoni ludzkie losy, a zbrodnie nie mogą ujść bezkarnie! Nowa ofiara trzepocze się w szatańskiej sieci! Tych dwoje wszędzie razem!

10 sierpnia 1967 r. Stało się. Wrócili z Urzędu Stanu Cywilnego jako małżeństwo! K. jutro wyjeżdża — sam. Nie będzie u nas żadnego przyjęcia z okazji ślubu. Ogrodnik śpieszy się do swoich róż i zamierza wydać ucztę weselną u siebie w domu, kiedy przyjedziemy już na zawsze do niego. Wszystko na opak. Szatan ma likwidować willę w Sopocie.

16 września 1967 r. Córka Szatana wyjechała do najnowszego małżonka. Kucharka i pokojówki odeszły. Jestem sama z Szatanem. Spotykamy się tylko przy posiłkach.

15 grudnia 1967 r. Willa została sprzedana wraz z całym urządzeniem. Pakuję manatki. Czuję dziwny lęk przed przyszłością. Pan chyba odwrócił ode mnie swoje oblicze, bo odczuwam ucisk serca bez wyraźnych powodów.

20 grudnia 1967 r. Przyjechałam z Szatanem do nowego domu. Ogrodnik przywitał nas bardzo przyjaźnie. Jest to krewki mężczyzna i cieszy się dobrym zdrowiem. Myślę, że Córka Szatana ma małe szanse, by po nim dziedziczyć... Dom jest bardzo solidny, ale stary i ponury. Nie opodal znajdują się ruiny klasztoru. Boże Narodzenie zapowiada się hucznie,

bo ogrodnik jednocześnie ze świętami chce urządzić weselną ucztę. Pozornie wszystko zapowiada się dla mnie jak najlepiej, gdyż mam znowu podwyżkę pensji i kucharka, która tu pracuje, zna się na gotowaniu, nie będę więc musiała kłócić się z nią o jakość posiłków, a jednak... nękają mnie złe przeczucia i widzę cień śmierci coraz bliżej...

12 czerwca 1968 r. Za dwa dni ma się odbyć u nas garden party, czyli przyjęcie w ogrodzie. Czego to ludzie nie wymyślą! Przyjęcie na dworze! Córka Szatana biega w jaskrawożółtych krótkich spodenkach po całej posiadłości i nie wstydzi się nawet ludzi, którzy pracują przy kwiatach na polu. Ogrodnik traktuje żonę bardzo przyzwoicie, ale nie widzę, żeby szalał z wielkiej miłości. Kucharka powiedziała mi w zaufaniu, że przynajmniej raz w tygodniu jeździ na dziwki do miasta. Został mu ten przykry obyczaj z czasów, gdy był wdowcem. Córka Szatana robi dobrą minę do złej gry, ale Szatan traktuje ogrodnika bardzo ozięble.

25 czerwca 1968 r. Córka Szatana próbowała zrobić rano scenę zazdrości swemu ogrodnikowi. Chodziło znowu o jakąś kobietę. Powiedział jej bez ogródek, że jak jej się coś nie podoba, to drogę ma wolną, winę i koszt rozwodu weźmie na siebie. Córkę Szatana zamurowało, zapomniała języka w gębie, tylko wytrzeszczyła oczy i naturalnie straciła całą pewność siebie. Polem usiłowała obrócić wszystko w żart. Za to podczas kolacji Szatan przyglądał się ogrodnikowi z taką miną i z takim wyrazem w oczach, że zimny pol wystąpił mi na czoło.

30 lipca 1968 r. Byłam już przecież świadkiem podobnej sceny w przeszłości: Córka Szatana usiłowała namówić męża do wyjazdu nad morze. Spotkała się ze stanowczą odmową. K. powiedział, że nic nie robią po całych dniach, więc nie mają po czym wypoczywać, a on w lecie, kiedy w ogrodzie sezon w pełni, nie będzie wyjeżdżał, bo Grybier jest za stary, żeby zrzucić mu dozór nad wszystkim na barki. Nie mogę

zorientować się, kto tak prze do wczasów nad morzem. Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że C. Szatana głównie na tym zależy, ale ja mam dobrą intuicję i jakiś głos wewnętrzny podszeptuje mi, że wyjazd tam, a nie gdzie indziej, byłby na rękę Szatanowi. Nie powinnam może mieć takich czarnych myśli, ale czyż moja podejrzliwość nie jest usprawiedliwiona? Już widzę w wyobraźni na morzu, niezbyt daleko od brzegu, łódkę, która idzie raptem na dno. Jestem pewna, że ogrodnik nie umie pływać. Zapytam o to Grybiera.

31 lipca 1968 r. Rozmawiałam dzisiaj z Grybierem. Ogrodnik nie umie pływać! Moje podejrzenia przybrały po tej wiadomości na sile! Panie Wszechmogący, co Szatan znowu knuje?

18 sierpnia 1968 r. Kazio, siostrzeniec ogrodnika, ożenił się. Odbyło się małe przyjęcie z tej okazji, ale za tydzień ślub w kościele i uczta na cały powiat! Młoda żona dosyć przyjemna i ładna, tylko nowomodnie wychudzona, aż przykro patrzeć. Ma również niemiły zwyczaj chodzenia ciągłe w spodniach. Ogrodnik odznacza się dobrym sercem i otwartością z cieszenia dla bliskich ludzi. Tym bardziej przykro mi o tym myśleć, że może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

12 września 1968 r. Miałam okazję porozmawiać przez chwilę z K. w cieplarni. Radziłam mu, by oszczędzał swoje zdrowie i nie wyjeżdżał tak często na eskapady do miasta, ale wziął mnie za zidiociała dewotkę i śmiał się tylko. Nie mogłam przecież wygarnąć mu prosto z mostu, żeby nie jeździł dlatego, że grozi mu to zemstą ze strony Szatana. A może tu chodzi o coś więcej, może boją się, że zostaną na lodzie, kiedy ogrodnikowi znudzi się C. Szatana i rozwiedzie się z nią? Więc nie mogłam mu tego powiedzieć, boby mi nie uwierzył, wyśmiał i wszystko powiedział żonie. Znalazłabym się wtedy w niebezpieczeństwie i bez dachu nad głową. Zasmucona wyszłam z cieplarni wzywając tylko Najwyższego, aby miał miłosierdzie nad nami.

21 kwietnia 1969 r. Już dawno zauważyłam, że ogrodnik bardzo lubi Agnieszkę, żonę Kazika. Dzisiaj moje obserwacje znalazły pełne potwierdzenie. K. przywiózł z miasta adwokata i sporządził testament. Bardzo dużą część swego olbrzymiego majątku zapisał Kazikowi i Agnieszce. Szatan chodzi blady z wściekłości. Sytuacja w domu jest niesłychanie napięta.

30 lipca 1969 r. Dzisiaj, jak równo rok temu, wynikła duża awantura na temat urlopu. C. Szatana stanowczo zażądała wyjazdu nad morze lub w góry. Ogrodnik począł się zastanawiać nad tą propozycją i byłby się chyba zgodził, ale wyszło na jaw, że Szatan ma im towarzyszyć, i wtedy otworzył najpierw szeroko oczy, a potem ryknął śmiechem. Kiedy się uspokoił, powiedział, że ani myśli jeździć na urlop ze wszystkimi domownikami, bo ma ich dosyć na co dzień. Szatan obraził się i opuścił jadalnię nie dokończywszy deseru, bo cała scena odbywała się w czasie obiadu. C. Szatana zaczęła płakać, co tak rozgniewało ogrodnika, że wyraził zgodę na wyjazd, ale z tym zastrzeżeniem, że każde z nich wyjedzie oddzielnie i do innej miejscowości. C. Szatana nie mogła się nie zgodzić, choć widziałam, że nie była specjalnie zachwycona takim pomysłem ogrodnika,

6 września 1969 r. Ogrodnik nawiązał na wczasach znajomość z jakąś kobietą, która napastuje go teraz listownie. Nie minął tydzień od jego powrotu do domu, a otrzymał już trzy listy od niej! C. Szatana zrobiła ogromną awanturę, bo odkryła tę korespondencję. Listy leżały na biurku w gabinecie i praktycznie biorąc każdy, kto tam wszedł pod nieobecność K., mógł je sobie przeczytać. Jak tylko C. Szatana przestała wrzeszczeć, ogrodnik zagroził jej rozwodem. Myślał chyba na serio o takiej ewentualności, bo całkiem zimno i spokojnie powiedział jej, że jeszcze jedna taka scena i porozumie się ze swoim adwoita-tem w sprawie ich rozejścia się. Dodał jeszcze, że ich małżeństwo nie jest

tym, czego oczekiwał, więc może taki obrót sprawy byłby najlepszy. C. Szatana była zbyt wściekła, żeby tak, jak kiedyś, załagodzić sprawę. Powiedziała, że drogo by po ta impreza kosztowała. Roześmiał się w odpowiedzi. — Wiem, że ciebie interesują tylko moje pieniądze — odrzekł. I dodał coś bardzo brzydkiego, że owszem, może jej zapłacić, jak „takiej" kobiecie, za stratę czasu spędzonego w „klasztorze", nawet gdyby to była duża suma. C. Szatana była sina z wściekłości.

3 października 1969 r. Trzęsę się cała z okropnego zdenerwowania. Miałam dzisiaj po południu interes do Szatana, bo kucharka Genowefa zażądała pomocnicy i zgłosiła się dziewczyna, którą Grybier będący akurat przed domem skierował do mnie. Nie zrobiła na mnie korzystnego wrażenia i dlatego chciałam zapytać Szatana o zdanie w tej materii. Kazałam przybyłej poczekać w kuchni na odpowiedź, a sama weszłam do tamtego przedpokoju... Drzwi było lekko uchylone. Usłyszałam rozmowę, więc stanęłam nie wiedząc, czy wejść do środka, czy poczekać. I wtedy usłyszałam coś, co napełniło mnie przerażeniem. Szatan (to był jego glos), mówił: Trzeba się zdecydować wreszcie i skończyć z nim, zanim zbrzydniesz mu do reszty. — Domyśliłam się, że jest tam C. Szatana. Serce zaczęło mi walić, jak młotem, chciałam w pierwszym odruchu uciec, ale fatalna moja ciekawość przemogła strach, więc na swoje nieszczęście zostałam. — Tego nie da się zrobić, a poza tym ja nie chcę — odparła C. Szatana. — Ty nie musisz mieszać się do tego — odparł Szatan. — Nie, nie chcę! — zaprotestowała C. Szatana, tym razem energiczniej. — Te pieniądze starczą nam do końca życia — rzekł Szatan zimnym tonem. I wtedy stało się coś strasznego — kichnęłam. Natychmiast drzwi się otworzyły i Szatan stanął przede mną wbijając we mnie swoje przerażające spojrzenie. Zaczęłam mówić o tej dziewczynie, ale głos trząsł mi się ze strachu i słowa grzęzły w krtani. — Dobrze, zaraz tam przyjdę — powiedział Szatan patrząc na

mnie tak jakoś dziwnie. Wyszłam stamtąd: sama nie wiem jak i znalazłam się z powrotem w kuchni. Poczułam nienawiść do czekającej dziewczyny, bo ona była powodem mojego nieszczęścia. Gdybym nie poszła do Szatana właśnie w owym momencie... Dziewczyna w końcu nie została przyjęta i poszła sobie, a ja widzą coraz ciemniejszy cień śmierci wokół siebie. Jestem bezradna. Nie wiem co mam robić... Należałoby ostrzec ogrodnika... O Panie mój, zlituj sie nade mną!

Korcz przewróci! machinalnie następną kartkę zeszytu, ale na inwokacji do Boga pamiętnik skończy! się, nie było już ani słowa więcej. Jak na komendę do drzwi rozległo się pukanie.

— Zaraz! — wrzasnął, nawet nie pytając, kto puka.

— Panie poruczniku, major prosi! — usłyszał głos któregoś z milicjantów.

— Za pięć minut! — wrzasnął znowu, jeszcze gniewniejszym tonem. Schował zeszyt do kieszeni marynarki, zgasił światło i z zamkniętymi oczami zamarł bez ruchu na swoim krześle.

Kiedy po pięciu minutach nieszczęsny funkcjonariusz wszedł na górę i nacisnął klamkę, drzwi pokoju Korcza nieoczekiwanie ustąpiły. Pokój był ciemny i pusty. Porucznik ulotnił się.

— Kiedy pan Albin tutaj zamieszkał? — zapylał Korcz. Opuścił wzrok na czubki swoich butów, aby Grybier nie spostrzegł malującego się w jego oczach napięcia.

— Zaraz, zaraz... Pan Albin przybył do nas w tym czasie, kiedy Janek się ożenił.

Napięcie Korcza rosło. — Nie pamięta pan, czy przed przyjazdem Kilianowej, czy już po jej przybyciu?

Grybier zmarszczył czoło w zastanowieniu. — To było tak: najpierw przyjechała Kilianowa, potem jednocześnie tamci troje: pani Ludwika, pani Zofia i pan Albin.

— Jest pan pewien, że taka była kolejność?
— Tak. Przecież ja ich przywiozłem ze stacji.
— Chce pan powiedzieć, że tamci troje przyjechali tego samego dnia?
— Oczywiście. O tym przecież mówię. Pan Albin siadł w wozie przy mnie, a obie panie na tylnym siedzeniu. Tyle mieli bagaży, że zostawili je w przechowalni na dworcu i pojechałem po nie jeszcze raz „Nyską".
Korcz doznał przykrego wrażenia, że jak w koszmarnym śnie. zbliża się do upragnionego celu, ale w żaden sposób nie może do niego dojść. Coś się tu wciąż nie zgadza. Z pamiętnika poznał dokładnie małżeńskie dzieje pani Lidki, całą makabreskę jej trzykrotnego, nie, czterokrotnego małżeństwa, ale „Szatan" wciąż mu się wymyka, nawet teraz... Szatan, reżyser całej afery z mężami... i morderca Kiliana... Kogo pani Zofia nazywała Szatanem? Zauważył, że nigdy, opisując zdarzenia w domu Kiliana, nie wspominała o Albinie. Nie wspominała również o Ludwice... Podsłuchiwanie rozmowy pani Lidki z Szatanem, które miało się tak fatalnie dla niej skończyć, miało miejsce w korytarzyku, gdzie znajdują się pokoje Albina i Ludwiki... Które z nich jest Szatanem? Zofia jechała z Sopotu w towarzystwie Szatana. O jedną osobę jest tu za dużo.
— Niech pan się zastanowi, panie Grybier — powiedział. — Wysiedli z pociągu pani Zofia, pan Albin i pani Ludwika, tak?
— Tak.
— I potem zawiózł ich pan samochodem Kiliana do domu?
— Tak.
— Ale ja nie o to pytam, człowieku. Fakt, że ta trójka wysiadła z tego samego pociągu w naszym mieście, nie świadczy jeszcze o tym, że razem przyjechała z Sopotu.
— Nie, nie świadczy, ale ja wiem, że oni razem przyjechali z samego Sopotu — odparł Grybier zniecierpliwiony.
— Niech to jasna cholera weźmie! — powiedział Korcz z

pasją.

— A czy to takie ważne, kto z kim przyjechał? — zapytał stary.

Korcz starał się zebrać myśli.

— Może to Kilian wysłał Albina po obie panie?

—Też coś! — zgorszył się Grybier. — One obie dałyby sobie wszędzie radę. To pana Albina prędzej trzeba by było pilnować. On wiecznie narzeka, wiecznie kwęka.

— Więc j ak to było?

— Zwyczajnie. Jak pan Albin wyswatał Kilianową Jankowi, przyjechał tutaj na zaproszenie Janka, żeby z nim zamieszkać. Oni obaj i tak mieli wspólne interesy i często się spotykali. Pan Albin już dawniej siedział u nas po parę miesięcy.

Korcz osłupiał. — Pan Albin wyswatał... Nie, nic nie rozumiem! Przecież pan Albin jest... kuzynem Kiliana?

— Zgadza się — powtórzył Grybier. — Dlatego też uważał, że uszczęśliwi Janka pakując go w ten związek. Zdaje się, że Janek nie mógł mu nigdy tego wybaczyć.

— Z tego wynika, że pan Albin znał Kilianową wcześniej niż Kilian?

— Ano tak się złożyło — powiedział Grybier.

— I pan dopiero teraz mi o tym wszystkim mówi — w glosie Korcza brzmiała gorycz.

— Przecież mnie pan o to wcześniej nie pytał. Nie wiedziałem, że to będzie dla pana miało znaczenie.

— Spojrzał z nadzieją na Korcza. — Czy te sprawy mają jakiś związek z mordercą?

Korcz utkwił w jego twarzy niezbyt przytomne spojrzenie. — Kto jest Szatanem, do wszystkich diabłów! — wykrzyknął i wypadł z cieplarni.

— Kolego, nie gorączkujcie się tak bardzo — odezwał się

major Szczygieł delikatnym tonem. Pamiętnik pani Zofii leżał przed nim na biurku. — To, co proponujecie, jest bardzo ryzykowne. Musimy pamiętać, że Szatan jest przestępcą bardzo niebezpiecznym i gdy poczuje się osaczony...

— Ma pan jakiś lepszy pomysł? — zapytał Korcz twardym tonem.

— Liczy pan na to, że Kilianową coś wyzna? Przecież to absurd. Przed chwilą rozmawiałem z Grybierem i z kucharką. Gdyby pamiętała, do kogo poszła pani Zofia w sprawie przyjęcia pomocy domowej, wiedzielibyśmy, kto jest Szatanem...

— Gdzie ta dziewczyna czekała na decyzję?

— W kuchni.

— To kucharka kłamie. Powinna taką rzecz pamiętać.

— Nic jestem pewien, czy ona kłamie. Twierdzi, że w kuchni zrobił się nagle tłok. Przyszła po coś Agnieszka, potem wpadł Albin po herbatę, następnie nan

Kazio zajrzał, czy nie ma Agnieszki, zjawiły się pani Kilianową i Ludwika, jednym słowem cała rodzina zwaliła się raptem do kuchni.

— No więc co z tego. Powinna zapamiętać, kto rozmawia! z dziewczyną. Wszyscy chyba z nią nie mówili?

— Podobno Zofia zabrała ją z kuchni.

— A co z Kilianową?

— Właśnie o niej chciałem z panem porozmawiać, gdy pan gdzieś nieoczekiwanie zniknął — rzekł major. — Jak pan wie, miałem bardzo mało czasu, ale zebrałem już częściowo informacje o domownikach Kiliana. Zwłaszcza życiorys Kilianowej wygląda interesująco.

Popatrzyli na siebie i parsknęli jednocześnie niepohamowanym śmiechem.

Major opanował się pierwszy. — Byłoby to nawet wesołe, gdyby nie było tak śmiertelnie smutne — zauważył sentencjonalnie. Zabębnił palcami w blat biurka. — Jest pan

pewien, że Kilianową weszła do sypialni?

— Wszystko na to wskazuje. Miała pierze na sukni. I to w okolicy pleców. Pierze z rozprutych poduszek. Okno było otwarte, dlatego nie znalazłem kuli w ścianie korytarza. Nawiasem mówiąc łuski też nie znalazłem. Strzelała do okna, a polem przez to samo okno usunęła pistolet.

— Tak — przytwierdził major głęboko się nad czymś zastanawiając.

— Sprawa jest dla mnie jasna, jak słońce. Upozorowała zamach na siebie, aby utrudnić śledztwo.

Szczygieł popatrzył na Korcza z dziwnym wyrazem twarzy. — Mam nadzieję, że rozmawiał pan trochę z Kilianem przed jego śmiercią?

Korcz zaczerwienił się gwałtownie. — Nie rozumiem, do czego pan zmierza?

— Niech pan się na mnie nie gniewa, ale ten pański milioner był osobliwym facetem.

— Co pan ma na myśli? — zapyta! Korcz ostrym tonem.

Major znowu bębni! palcami w biurko. — Nie uderzyło pana, że za dużo broni palnej znajduje się w tym domu? Do ogrodnika strzelano z jego własnego pistoletu i tę broń szczęśliwie pan skonfiskował, a teraz ukazuje się. że Kilianowa ma nież jakaś pukawkę i nie wiadomo, jeszcze. Maluczko, a ujrzymy kucharkę Zgarniającą do kogoś przez kuchenny fcik... Rozmawiał pan na ten temat z ilianem? Miał tu, do cholery, arsenał, czy co?

Korcz od paru sekund walczył z ogarniającą go wściekłością. — Mówiłem panu — rzeki powoli — jak Kilian tłumaczył obecność pistoletu w domu. Może miał nie jeden pistolet, tylko dwa i wstydził się przyznać. Nie wiem.

— Wszystko to ładne, piękne, ale jak wynika z przebiegu wydarzeń, ta historyczna broń dostaje się w niepowołane rączki... — rzekł major uśmiechając się sarkastycznie.

— Ba! — Korcz wzruszył ramionami. — Tutaj operuje się

nic tylko bronią palną. A wracając do Kilianowej: znalazł pan. majorze, pistolet, z którego oddala strzał?

— Cóż pan sobie wyobraża? Ze wyrzuciła go tak po prostu za okno? To byłoby nielogiczne. Jeśli chciała upozorować napad, pistolet musiał zniknąć bez śladu razem z rzekomym napastnikiem.

— Choć jestem mniej doświadczony od pana, nie podejrzewałem ani przez moment, by Kilianowa wyrzuciła pistolet na podwórko. Jestem zdolny do logicznego' rozumowania wbrew świadczącym przeciw mnie pozorom. Podejrzewałem tylko, jak się okazuje, niesłusznie, że w wyniku przeprowadzonej rewizji odnalazł pan ukrytą gdzieś broń — zemścił się Korcz.

Major roześmiał się. — Ma się te kompleksy, kolego?

-Przestańmy się kłócić. Nie ma na to czasu. Nic mam nawet czasu, aby dokładnie przeczytać to — wskazał pamiętnik pani Zofii.

— Głowę daję, że pistoletem zajął się Szatan — powiedział Korcz ułagodzony.

— Słusznie. Wszystko na to wskazuje — przytaknął major. — Pod oknem sypialni Kilianów znajduje się na parterze okno przedpokoju, skąd wchodzi się do mieszkania pana Albina i tej, jak jej tam... Ludwiki.

— Otóż to! — wykrzyknął Korcz. — Albin! Wciąż ten Albin! Czy pan wie, że to Albin skojarzył Kilianów?

— Tak? To interesujące.

— Uważam, że bardzo.

— Jest ich dwoje. Kilianowa i Szatan. I teraz znowu wchodzi w grę właśnie tamta część domu. Znalazł pan gwoździk przybity z zewnątrz do parapetu okna sypialni Kilianów?

— Owszem. Przypuszczam, że by tam uwiązany sznurek, do którego wdowa przywiązała pistolet po oddaniu strzału. Ktoś stojący na dole przy oknie odwiązał go i ukrył.

Prawdopodobnie teraz posiadacz pistoletu zastanawia się intensywnie, komu go podrzucić. Nie wie przecież, że mam pamiętnik. Kilianowa dziedziczy dużą forsę. Może obawiać się razem ze wspólnikiem wpadki. Ta historia z trzema poprzednimi mężami choćby. Wiedzą, że szybko dogrzebiemy się tego.

— Tego morderca nie mógł się obawiać, bo nie mordowałby Kiliana. Ani Zofii. Niewątpliwie pamiętnik to jest duża rzecz w naszym śledztwie, ale niestety pani Zofia nie podaje konkretnych dowodów winy Szatana. A wychodzić za mąż kilkakrotnie, nawet trzy, pięć, czy dziesięć razy, nie jest zabronione. Mężowie Kilianowej byli starcami, łatwo wytłumaczy, dlaczego umierali. Dowody, niezbite dowody, oto czego nam trzeba.

— Pani Zofia wyraźnie wskazuje Szatana jako mordercę Kiliana i przynajmniej jednego z poprzednich mężów.

— Denatka miała na myśli tego starca, który się utopił? Co do tego topielca, wszystko jest w obliczu prawa w porządku. Było śledztwo i sprawę umorzono.

— Według podejrzeń pani Zofii Szatan pomógł nieszczęśnikowi pójść na dno. Szatan w tej wersji to nie żaden mglisty duch, tylko osoba z krwi i kości, i to osoba groźna, zdolna zniszczyć każdego, kto będzie jej w jakiś sposób przeszkadzał w osiągnięciu zamierzonych celów.

Raptem Korcz przerwał, gdyż przyszło mu coś na myśl. — Nie wie pan, majorze, kto zajmował się sprzedażą willi Kilianowej w Sopocie?

Szczygieł przez parę sekund przyglądał się Korczowi jak urzeczony.

— Cholera jasna! Albin!

— Jest pan tego pewien? — Korcz zbladł z wrażenia.

— Sam mi o tym powiedział w czasie przeshichania.

Korcz złapał z biurka pamiętnik pani Zofii i począł gorączkowo przerzucać jego kartki. — O, mam! Niech pan

przeczyta ten urywek! Ogrodnik spieszył się do swoich róż t zamierza wydać ucztę weselną u siebie w domu, kiedy przyjedziemy już na zawsze do niego. Szatan ma likwidować willę w Sopocie — przeczytał major.

— No i co pan teraz powie? — Korcz patrzył roziskrzonym wzrokiem na Szczygła.

— Tak. W samej rzeczy, to nie o duchu mowa — przyznał major. — Tylko o Albinie!

— Hm, na to by wyglądało — przytwierdził major z pewnym wahaniem.

— Więc Albin jest Szatanem pani Zofii! Rozumie pan, co to znaczy? Mamy mordercę!

— Zaraz, zaraz, nie gorączkujcie się tak, kolego! — Major zwinął zeszyt pani Zofii w rulonik i począł się nim bawić. — Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków z jednego zdania zawartego w pamiętniku.

— Jak to?

Szczygieł skrzywił się. — W sprzedaży willi maczała palce również Ludwika. To jedna rzecz; a druga: Szatan mieszkał bez przerwy z Kilianową, czy tak?

— Tak.

—Więc coś tu nie pasuje w tej łamigłówce. Pan Albin twierdzi, że poznał Kilianową dopiero w Sopocie.

— Z pewnością kłamie.

— Możliwe. Mógł ją znać równię dobrze jeszcze przed jej wyjazdem do Sopotu, mógł być jednym z jej adoratorów, ale nie mieszkał z nią pod jednym dachem, razem z jej kolejnymi mężami. To by się nie ukryło w tamtym miasteczku.

Korcz sposępniał.

—O kim więc pani Zofia pisała? Sam pan przyznaje, że nie o duchu. Z treści pamiętnika wynika jasno, że był to ktoś zaufany, rządzący majątkiem naszej wdówki. Szatan siedział przy kasie w sklepie jej pierwszego męża, Szatan decydował o wielu praktycznych sprawach.

Szczygieł miał wyraz twarzy człowieka myślącego o jakichś odległych sprawach. Podrażniło to Korcza.

— Tu właściwie nie ma się nad czym zastanawiać. Los dał mi do ręki pamiętnik i należy tę okoliczność wykorzystać tak, jak to panu zaproponowałem. Myślę, że w ten sposób rozwiążemy szybko całą zagadkę.

— Co? A pan ciągle o swoim planie! — Major ocknął się z zamyślenia. — Dobrze. Nie mam, formalnie rzecz biorąc, żadnego prawa panu tego zabronić. — Westchnął. — No to omówmy teraz szczegóły pańskiego planu... Zapali pan „mentolowego"?

Korcz obudził się z przykrym bólem głowy. Spojrzał na zegarek. Była za piętnaście ósma. W tym momencie usłyszał za oknem szum opon nadjeżdżającego samochodu. Wyskoczył z łóżka, rozsunął kotary w oknie i wyjrzał na zewnątrz. Major z teczką pod pachą, w asyście dwóch pracowników, wysiadał właśnie ze służbowego wozu. Korcz zmarszczył brwi.

— Kogo on ma na muszce? To pewne, że kogoś ma. Nie potrzebował pamiętnika, żeby znaleźć winnego. Ustalono, że Kilianowa nie otruła męża. Albina major też wyklucza. Kazio jest poza podejrzeniami, kto więc pozostaje na czarnej liście? Grybier! Tylko że starego ja, do czorta, nie podejrzewam! — Otworzył wieko swojej walizki i począł szukać w niej nowej żyletki do golenia. Po dziesięciu minutach zjawił się w gabinecie wykąpany i wyświeżony. Major zasiadł przed biurkiem jeszcze przed ósmą. jak wzorowy urzędnik mający wymagającego zwierzchnika.

— Ma pan mordercę? — zapytał Korcz zaraz po przywitaniu.

— Człowieku, czy pan oszalał? Kilkanaście godzin temu zabito faceta, a pan już chce mieć sprawcę? Ja sobie

wypraszam! Łyknij pan elenium, zjedz pan śniadanie, rób pan, co chcesz, tylko nie męcz mnie tutaj! Najlepiej idź pan na śniadanie. Ręczę, że jeszcze nic pan nie jadł. Tymczasem resztki pozostałej przy życiu familii jedzą chyba jajecznicę na boczku. Czułem zapachy z kuchennego okna. — Mrugnął do Korcza. — Jajecznica na boczku. Angielski fason, panie. Idź pan, korzystaj z wiktu prywatnej inicjatywy, póki co.

— Dziękuję za dobre serce — zaśmiał się Korcz. — Traktuje mnie pan, majorze, jak przedszkolaka. Zemszczę się. obiecuję.

Major nie odpowiedział zagłębiając się w jakieś notatki. Korcz widząc, że nic tu na razie nie wskóra, wycofał się do jadalni, gdzie rzeczywiście stała na stole ogromna ilość jajecznicy z wędzonym boczkiem.

Pan Albin, jak zwykle okulany w jakieś szale, pałaszował z apetytem śniadanie. Agnieszka ubrana w zielony, gruby sweter i granatowe, elastyczne spodnie nalewała kawę Kazikowi. Pani Lidki nie było jeszcze w jadalni. Ludwika również nie przyszła, widocznie wciąż źle się czuła.

— Co major mówił panu o Lidce? — Agnieszka podeszła z dzbankiem kawy do Korcza.

Podniósł oczy i popatrzył na jej twarzyczkę. Z bliska widać było znużenie w jej oczach. Przyglądała się Korczowi z wyraźną podejrzliwością. — Lidka miała do pana większe zaufanie, niż do kogokolwiek z nas. Zorientował się pan chyba najlepiej, że ktoś usiłował ją zabić!

— Ma pani bardzo dobre serce — powiedział. Nałożył sobie sporą porcję jajecznicy. Teraz dopiero poczuł, jaki jest głodny.

— Lidka mówi, że... że rzuca pan na nią jakieś wstrętne oszczerstwa — głos Agnieszki załamał się nagle.

Kazik patrzył ze zmieszaniem na tych dwoje. — Agnieszko, proszę cię...

Albin podniósł do ust widelce z kawałkiem boczku. —

Znowu wtrąca się pan w nie swoje sprawy — powiedział patrząc wrogo na Korcza.

Niebywałe! — pomyślał Korcz. — Albin wciąż nie wie, że jestem milicjantem. Kazik nie wygadał się, a pani Lidka... czyżby nie rozmawiała z nim do tej pory na mój temat? Zbył to piękne, aby było prawdziwe. Raczej pan Albin gra w tej chwili nieświadomego. Wygodna poza. Starszy, nieświadomy wydarzeń pan, myślący tylko o swoim zdrowiu.

— Mam prawo — powiedział spokojnie, mieszając z uwagą kawę.

— Jestem funkcjonariuszem milicji i niechże pan nie udaje, że o tym nie wie.

Reakcja była taka, jakiej się spodziewał.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekł Albin. Zaczął natychmiast pokasływać.

Oboje młodzi skończyli śniadanie i wyszli z jadalni zabierając swoje talerze, żeby je odnieść do kuchni. Ku zdziwieniu Korcza w jadalni po paru minutach znów pojawił się Kazio, tym razem sam i z oznakami wzburzenia na twarzy.

— Panie poruczniku, może pan pójść ze mną na górę?

— Co się stało? — Korcz rzucił mimo woli spojrzenie na Albina, który wreszcie skończył jeść i małymi łykami popijał kawę.

— Zaraz pan zobaczy! — powiedział Kazio przepuszczając Korcza przed sobą w drzwiach.

— Czy pan Albin zawsze jest taki na wszystko obojętny? — zainteresował się Korcz.

— Tak. Tuki on już jest — odparł Kazio z roztargnieniem. Na górze otworzył szeroko drzwi pokoju, który zajmował z Agnieszką.

— Co się właściwie stało, panie Kaziu? — Korcz rozejrzał się ciekawie po ładnie urządzonym gniazdku młodej pary.

Kazio z dramatycznym wyrazem twarzy stanął przy

regałach, zajmujących jedną ścianę. — Proszę, niech pan wyjmie tę książkę! — wskazał prawą stronę najniższej półki.

Korcz domyślił się już, co znajdzie za książkami. Wyjął wskazany tom i rzeczywiście ujrzał lufę pistoletu wetkniętego pomiędzy książki i ścianę. Usunął dalsze tomy i ostrożnie przez chusteczkę wziął pistolet.

— Nigdy bym się nie spodziewał czegoś podobnego u siebie! Gdybym nie wpadł na pomysł, żeby się trochę pouczyć...

— Kiedy pan wziął ten podręcznik?

— Teraz, przed chwilą. Dobrze, że Agnieszka nie przyszła ze mną na górę. Ona jest... ona... chyba będzie miała dziecko, wie pan... a wzruszenia tego typu... pan rozumie...

— Rozumiem — przytaknął Korcz i nagle zamarł w bezruchu. Nie słyszeli, kiedy weszła, zresztą gruby dywan tłumił kroki.

Teraz pani Lidka stała przed Korczem z groźnie ściągniętymi brwiami.

— Otóż to właśnie! — wykrzyknęła i wskazała wyciągniętym palcem pistolet. — Mnie pan posądza o napad na samą siebie! A teraz wychodzi szydło z worka! Zawsze go podejrzewałam o niecne sprawki! On tylko udaje świętoszka! W rzeczywistości zawsze czyhał na pieniądze Janka!

— Albo się pani uspokoi, albo każę panią zaaresztować! — Korcz ocknął się z osłupienia i zrobił surową minę.

— Niech mi pan wybaczy — rzekła zmieniając nagle taktykę. — Straciłam panowanie nad sobą, kiedy raptem zobaczyłam pistolet u Kazika, po tym wszystkim, co zaszło.

— Przeprosiny należą się nie mnie, lecz panu Kaziowi — odrzekł Korcz.

— Nie rozumiem waszego postępowania! — Znowu zrobiła urażoną minę.

Korcz wyszedł szybko z pokoju młodego małżeństwa zostawiając tych dwoje. Nie miał ani czasu, ani ochoty na

kłótnie z Kilianową.

— O! — wykrzyknął major, gdy Korcz położył przed nim pistolet.

— Był u Kazia w pokoju na regale z książkami.

— Siostrzeniec sam go znalazł?

— Tak. Przed chwilą.

— Szkoda — mruknął major. — Myślałem, że odbędzie się to o wiele efektowniej.

— Czy Kazio naprawdę nie jest w to wszystko wplątany?

— Nie.

— Swoją drogą to nie jest w porządku, że robi pan, majorze, wobec mnie taką tajemnicę dokoła spraw Kazia.

— Kazio to fałszywy trop — powiedział major cierpliwie.

— Na czym opiera pan to przekonanie?

— Po prostu wiem, na co siostrzeńcowi Kiliana były potrzebne te pieniądze, i wiem również, komu je chciał dać. Tamten facet będzie miał duże kłopoty.

— Czy to ten typ, który włóczył się koło „klasztoru" jeszcze za życia Kiliana?

— Owszem, ten.

— Skoro tak... — Korcz wydął wargi.

Major uśmiechnął się. — Źle mnie pan rozumie — powiedział. — Myśli pan zapewne, że jestem zazdrosny o sukcesy w tej sprawie i dlatego nie chcę pary puścić z gęby, a tu po prostu chodzi o to, że chłopak prosił mnie "o dyskrecję. Żeby nic dręczyły pana dłużej wątpliwości; powiem, w czym rzecz. Otóż Kazio, będąc już narzeczonym obecnej swojej żony, utrzymywał jeszcze, luźny zresztą, kontakt z pewną dziewczyną, którą znał, zanim zaczął chodzić z Agnieszką. Wszystko byłoby w porządku, gdyby owa panienka, gdy tylko zorientowała się, że Kazio jest zajęty poważnie kim innym, również nie znalazła sobie kandydata na narzeczonego. Ów narzeczony próbował z dziewczyną szczęścia przedmałżeńskiego i oto jeszcze przed ślubem owa para

została obdarzona błogosławieństwem boskim w postaci zdrowego syna. I to również jeszcze w niczym by nie mąciło życia naszego Kazia, gdyby nie przedsiębiorczość tamtego faceta. Dowiedział się on bowiem od dziewczyny, z kim chodziła, zanim jego poznała i została szczęśliwą matką. Wyniuchał, że Kazio ma stryja milionera oraz młodziutką żonę, którą nieprzytomnie kocha, i postanowił zarobić na tym fakcie, a pieniądze były mu potrzebne, bo skończył szkołę fryzjerską i koniecznie chciał założyć własny zakład. Namówił więc matkę swego syna, by dla ich wspólnego szczęścia w cieniu własnego zakładu fryzjerskiego zgodziła się pomówić Kazia o ojcostwo ich dziecka. Całą sprawą miał się zająć narzeczony i rzeczywiście zajął się energicznie. Zagroził Kaziowi, że powie straszną prawdę Kaziowej żonie, Agnieszce, chyba, że Kazio odpali mu sto tysięcy, wtedy on, fryzjer, ożeni się z matką cudzego dziecka. Resztę pan zna.

— Fujara z tego Kazia! — zdenerwował się Korcz. — Jeśli dziecko było nie jego, powinien dać kopniaka cwaniakowi i nie miałby problemu.

— To się tylko tak pięknie mówi — major wzruszył ramionami. — Kazio kręcił trochę z tą dziewczyną w czasie, gdy był już narzeczonym Agnieszki. Dziecko jest nie jego, ale nikt o dziewczynie nie wiedział, ani Agnieszka, ani Kilian. I Kazio nie chciał, żeby dowiedzieli się o niej. Wolał zatkać fryzjerowi gębę.

— I do końca życia mieć szantażystę na karku! — Korcz z ciekawością przyglądał się majorowi. — Jak to się stało, że Kazio przyznał się panu do lej afery? Przypuszczam, że Kilian dałby mu te pieniądze. gdyby chłopak powiedział, o co chodzi.

— Dałby? Raczej nie. O ile zdążyłem się zorientować, Kilian był porywczy i nie należał do ludzi dających się szantażować, i to w dodatku jakiemuś szczeniakowi. Kazio obawiał się skandalu i tego, że Agnieszka dowie się o tamtej dziewczynie.

Siostrzeniec Kiliana zaciekle walczył o swoje małżeńskie szczęście.

— Tak — Korcz pokiwał głową. — Panu przyznał się do wszystkiego,.. Biedny szczeniak, mało nie -zwariował z tego wszystkiego i miał fatalnego pecha, bo akurat w czasie, gdy zażądał forsy od Kiliana, zaraz na drugi dzień ktoś strzelił do stryja.

— Zażądałem od niego wyjaśnień w sprawie tej forsy. Zagroziłem, że będzie głównym podejrzanym o morderstwo i chłopak z dwojga złego wybrał to mniejsze.

— Major uśmiechnął się. — I co? Jest pan wreszcie usatysfakcj onowany?

— Kompletnie i całkowicie — roześmiał się. Korcz. — Ale dlaczego po śmierci Kiliana Kazio odetchnął z wyraźną ulgą, tego w dalszym ciągu nie mogę zrozumieć. Cholernie mnie to irytowało.

— Fryzjer dowiedział się o morderstwie i poczuł pietra — rzekł major. — Całkowicie wycofał się ze sprawy, która przyjęła tak nieoczekiwany obrót.

— Myślał, że Kazio zabił stryjka, aby zdobyć dla niego forsę?

— Prawdopodobnie. Dość, że dał spokój, ale ja poleciłem, aby zajęto się tym facetem. Nie można tolerować takich historii.

— Kazio wyraził na to zgodę?

— Kazio musiał się zgodzić. Przyrzekłem mu, że ta mała o niczym się nie dowie.

— Nie będziecie chyba, majorze, osobiście zajmować się jakimiś marginesowymi sprawami, skoro tutaj mamy rozbebeszoną historię z dwoma trupami... na razie...

Major błyskawicznie schylił się i zajrzał pod szufladę biurka.
— Odpukać w niemalowane drzewo ?— powiedział stukając zgiętym wskazującym palcem w dno szuflady. — Jestem czasem przesądny. A pan niech nie wywołuje wilka z lasu.

Korcz uśmiechnął się pobłażliwie. — Stary ma dziwactwa, ale trzeba mu to przyznać, że operatywny to on jest — pomyślał. — Spodziewał się pan, że pistolet będzie podrzucony Kaziowi? — zapytał.

Szczygieł kiwnął głową. — Oczywiście. Oni wszyscy w jakiś sposób obciążali go w swoich zeznaniach. Bazowali na tym, że kłócił się ostatnio z Kilianem, i prawdopodobnie wiedzieli od razu, że chodziło o forsę, choć nic domyślali się, na co mu ona potrzebna.

— Kozioł ofiarny?

— Właśnie.

— Kilianowa nie mogła jednak podrzucić pistoletu Kaziowi, skoro uprzednio się go pozbyła?

— Jednak mogła to zrobić — sprzeciwił się major. — Pozbyła się go na razie. — Niech pan nie zapomina o tym, że jej najporęczniej byłoby to zrobić, bo zajmuje sypialnię na piętrze obok Kazików i może kręcić się tam nie zwracając niczyjej uwagi.

— Ma pan rację — zgodził się Korcz.

— Przeczytałem pamiętnik od deski do deski — powiedział nagle major.

— I... co?

— Utwierdziłem się w moich podejrzeniach w stosunku do pewnej osoby.

— Nie może pan puścić farby?

— Nie chcę pana zasugerować.

— Nie, to nie. Mniejsza z tym — odparł Korcz.

Korcz znalazł Grybiera majstrującego coś przy wozie Kiliana w garażu. — Mam dla pana małe zadanie

— powiedział bez wstępu.

— Dobrze — zgodził się ogrodnik ochoczo. — Co to ma być?

— Niech pan słucha uważnie: jak wszyscy będą w jadalni

jedli kolację, wyjmie pan zamek z drzwi łazienki na dole.

Grybier był zaskoczony, ale starał się to ukryć. — Mogę wyjąć, czemu nie?

— Dobrze by było, żeby nikt pana przy tej robocie nie widział, ale jeśli przypadkowo ktoś zapyta, co pan robi, niech pan powie, że zamek się zepsuł i trzeba go wymienić na nowy.

— Rozkaz, panie poruczniku, szafa gra. — Grybier wyprężył się po wojskowemu robiąc jednocześnie perskie oko.

Resztę dnia Korcz spędził na czytaniu protokołów przesłuchań, które udostępnił mu major, przeglądaniu raportów z informacji o rodzinie Kiliana, wyjeździe do miasta i utarczkach z majorem. Tuż przed kolacją wszedł na chwilę do łazienki na parterze. W jadalni panowała grobowa cisza. Jakoś nikt nic miał ochoty na konwersację. Korcz odezwał się tylko raz, żeby powiedzieć obecnym, że zginęło mu wieczne pióro.

Pani Lidka siedziała przy stole nadąsana nie patrząc na nikogo. Kazik z Agnieszką, bladzi i smutni jak skarcone dzieci, cichutko jedli posiłek, a Albin z mniejszym niż rano apetytem spożywał kolację nie odrywając wzroku od talerza.

— Oni też mają już dosyć tego wszystkiego — pomyślał Korcz. Wstał od stołu jednocześnie z Albinem, który pokasłując opuścił jadalnię. Poszedł na górę, zatrzymał się w połowie schodów i nasłuchiwał. Na dole panowała niczym nie zmącona cisza. Zszedł z powrotem do sieni i wyjrzał na dwór stając we frontowych drzwiach. Niebo było wyjątkowo czyste, bez chmur, nawet wiatr nie dmuchał. Po lewej stronie nieboskłonu świeciła samotna gwiazda.

— Chyba śnieg spadnie — powiedział raptem ktoś kolo niego.

Korcz zobaczył wyłaniającego się z mroku kaprala Matyjaska.

— Może — odrzekł przytłumionym głosem. — Co wy tu

robicie?

— Zbrzydło mi to sterczenie kołkiem w sieni. Wolę popatrzeć od czasu do czasu na wolną przestrzeń, choć krajobraz tu taki więcej parszywy. Ze też Kilianowi chciało się tu mieszkać.

— Często tak popatrujecie w przestrzeń?

— Co pan, poruczniku? Ja mam sokole oko na wszystko.

Korcz usłyszał za sobą w sieni jakiś ruch. Odwrócił się i popatrzył przez uchylone drzwi. Pani Lidku szła na górę w towarzystwie Kazików, a Albin już przebrany we włochaty, wiśniowego koloru szlafrok zmierzał do łazienki.

— Dom też paskudny — wybrzydzał Matyjasck — ponury, nic dziwnego, że się tu mordują.

— Żebyście wiedzieli, w jakich pięknych domach ludzie się zabijają — roześmiał się Korcz.

— Wszystko dla forsy — stwierdził Matyjasek i westchnął. — A tu człowiek, kurczę pieczone, ma czyste sumienie i czyste kieszenie...

— Żałujecie?

— Też! — oburzył się Matyjasek.

— To zostawiam was samego, żebyście w cichości ducha rozważali, jakie korzyści przynosi cnotliwe życie — zażartował Korcz i zamknął frontowe drzwi wchodząc do sieni. Przystanął pod drzwiami łazienki. Zza drzwi słychać było wodę lecącą z szumem do wanny. Począł się przechadzać licząc kamienne kwadraty posadzki. Co jakiś czas zerkał przez wąziutką szparę w nie zamkniętych drzwiach. Matyjaskowi widać już zbrzydło wystawanie na dworze, bo wrócił do sieni zacierając skostniałe z zimna dłonie.

— Będzie pan się kąpał, poruczniku? — zagrzmiał tubalnym głosem, który echo poniosło pod starożytne sklepienie.

Korcz potrząsnął przecząco głową i przyłożył ostrzegawczo palec do warg.

Matyjasek uśmiechnął się domyślnie i usiadł w swoim kącie na fotelu. Nareszcie szum wody ustał. Korcz jeszcze raz zajrzał przez szparę w drzwiach i zapukał.

— Zajęte! — wrzasnął kuzyn Kiliana. Korcz nie zrażony uchylił drzwi i wsunął głowę do środka. — Najmocniej pana przepraszam — powiedział nieśmiało — czy mogę na chwilę wejść?

— Panie! Ja się kąpię! — warknął groźnie Albin. Siedział w wannie zanurzony po piersi w wodzie.

Korcz uśmiechnął się słodko i wszedł.

— Nic nie szkodzi — powiedział. — Wie pan, bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam, ale ja teraz dopiero uświadomiłem sobie, że tu, w tej łazience zgubiłem swoje wieczne pióro.

— To co ja panu na to poradzę? — wysapał Albin czerwony od gorącej wody i wściekłości.

Korcz obrzucił roztargnionym spojrzeniem blade ciało starszego pana widoczne pod wodą. Odwrócił się zaraz dyskretnie z uczuciem rozczarowania. — Najmocniej przepraszam — bąknął i spiesznie wyszedł z łazienki starając się nie słyszeć cierpkich uwag Albina pod swoim adresem.

— Co to za awantura była wczoraj w łazience?

Major wyjął paczkę „mentolowych" i popchnął ją po blacie biurka w stronę Korcza.

— Pan Albin skarżył się?

— Skarżył się — to mało powiedziane. Zrobił mi wielką scenę z groźbami, że poskarży się gdzieś u najwyższych czynników. Podobno wtargnęliście do łazienki podczas jego kąpieli? Co pan właściwie wyprawiał wczoraj wieczorem?

Korcz uśmiechnął się wstydliwie i obejrzał uważnie paznokcie u rąk. — Po prostu ustaliłem, że pan Albin nie jest Szatanem.

— Czy mam przez to rozumieć, że całą rodzinę Kiliana będzie pan w czasie kąpieli oglądał? Ja, pomijając wszystko, chętnie bym sobie obejrzał piękną Kilianową w wannie, ale pan wybaczy, co to za metoda?

Korcz rozłożył ręce.

— Musiałem tak postąpić. Nie było innego sposobu. Wszystko panu wytłumaczę w odpowiednim czasie.

— Dobrze. Tylko wolałbym, żeby nie było awantur.

— Postaram się — obiecał Korcz. — Przypuszczam, że teraz nie potrwa to już długo.

Major uśmiechnął się. — Długo? Czy pan zdaje sobie sprawę z faktu, że od pana przyjazdu tutaj mija dopiero piąty dzień?

— Mnie się czas okropnie dłuży...

— Niech się pan nie przejmuje. Mam wrażenie, że dążymy do tego samego celu różnymi ścieżkami. Pan wybrał bardziej malowniczą, ja monotonną, ale liczy się ostateczny efekt, prawda? — uderzył otwartą dłonią w rozłożone na biurku papiery.

— Oczywiście — przytaknął Korcz.

Korcz cicho otworzył drzwi z sieni do małego przedpokoju. Przypomniał sobie teraz zapiski Zofii. To tu został przesądzony jej los. Zapukał lekko do siostry Kilianowej.

— Proszę — usłyszał słaby głos. Wszedł i znowu poczuł się zaskoczony. Tak się złożyło, że tylko raz był w pokoju Ludwiki tuż po jej otruciu, ale nie rozglądał się wówczas i teraz ogarnęło go zdumienie. Spodziewał się, że mieszkanie starej panny będzie jakąś odmianą pomieszczenia pani Zofii. Spodziewał się ujrzeć pokoik pełen niemodnych rupieci, makatek, ciężkich, ponurych gratów. Tymczasem znalazł się w wykwintnym apartamencie z perskim dywanem na podłodze, z antykami wartymi krocie. Pani Ludwika w nocnej koszuli przybranej obficie koronkami leżała na

tapczanie w pościeli, której nie powstydziłaby się królowa angielska. Korcz opanował zdziwienie i przywołał na twarz towarzyski uśmiech. — Może za wcześnie na wizyty — powiedział — ale mam akurat chwilę czasu i postanowiłem sobie panią odwiedzić.

Pani Ludwika westchnęła.

— Prawie te same słowa usłyszałam od majora, ale oczywiście bardzo się cieszę z pańskiej wizyty, niech pan siada — wykonała zapraszający gest dłonią w kierunku fotela z rzeźbionymi poręczami.

— Jak się pani czuje? — zapytał siadając.

— Jestem osłabiona, to wszystko — odrzekła lekkim tonem.

Może rzeczywiście jeszcze źle się czuje

— pomyślał przyglądając się brzydkiej, zielonkawej twarzy. Wypukłe oczy Ludwiki wpatrzone były w niego z lekko drwiącym wyrazem.

— Paskudny to był człowiek, który zaaplikował pani dawkę środka nasennego — powiedział z przekonaniem.

— Ano rzeczywiście — odparła. Źrenice Korcza rozszerzyły się nagle.

Powędrował spojrzeniem wzdłuż podstawy tapczanu, a potem tam, gdzie Ludwika powinna mieć nogi pod puchową kołdrą.

— Zdaje mi się... zdaje mi się... — wyjąkał unosząc się z fotela.

— Że co? Ducha pan zobaczył? — zakpiła.

Pokręcił przecząco głową. — Nie — zaprzeczył flegmatycznie — to była chyba mysz. Biegła po podłodze, a teraz... wspięła się szybciutko na tapczan, tam... — wyciągnął dłoń w kierunku jej nóg z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

Pani Ludwika wydała z siebie cienki, ostry pisk i w mgnieniu oka wyskoczyła z pościeli. Zobaczył przed sobą jej długą, wspaniałą koszulę nocną i bose stopy. Ludwika szarpnęła gwałtownie kołdrą, odsłaniając prześcieradło.

— Gdzie ona jest? — wrzasnęła.

— Może uciekła za tapczan — wyraził przypuszczenie.

— Niech pan wyjdzie — zażądała raptem. Narzuciła na siebie szlafrok, wsunęła stopy w ranne pantofle. Twarz miała szarą jak popiół.

— Źle się pani czuje? — zapytał ze współczuciem.

— Niech pan wyjdzie! Natychmiast! — ostry krzyk przeszedł w szloch.

Korcz wybiegł z pokoju, a już w sieni wytarł chusteczką czoło. Były na nim drobne kropelki potu.

Major podniecony do najwyższego stopnia biegał po gabinecie. — Tak, rzeczywiście! Ja też pamiętam ten szczegół w zapiskach denatki, ale nie przywiązywałem do tego wagi. Myślałem sobie, skoro zamordowana miała taki specyficzny sposób pisania... ot, przenośnia poetycka, myślałem... Nieprawdopodobna historia!

Korcz założył nogę na nogę i oparł się wygodniej o oparcie krzesła.

— Pani Zofia była daleka od fantazjowania. Cały czas trzymała się konkretów, o czym już panu mówiłem. Ona stąpała twardo po ziemi, nie bujała w obłokach, .la od razu zrozumiałem, że była osobą trzeźwą i cóż tu ukrywać, paskudnie interesowną. Nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie rzuciła pracy u osób, budzących swym postępowaniem tyle jej wstrętu, tyle zastrzeżeń, ba, podejrzeń, które coraz bardziej się materializowały w konkretnych faktach; Odpowiedź znajdowałem tylko jedną: otrzymywała bardzo dobre wynagrodzenie. Dla pieniędzy była gotowa podlewać kwiatki na następnych czterech, pięciu, czy dziesięciu grobach nieboszczyków mężów.

— Robiła to z pewnego rodzaju satysfakcją — wtrącił major.

— Chyba tak! — roześmiał się Korcz.

— W gruncie rzeczy, z zupełnie innych powodów, niż jej chlebodawczyni. nic miała dlu tych nieszczęśników litości. Ot, do czego prowadzi fanatyzm, wszystko jedno jakiego rodzaju...

— A jednak dał się pan nabrać na pobożność tej kobiety — powiedział major.

—Nasza pamiętnikarka nie mogła być naprawdę pobożna, bo nie tolerowałaby tego wszystkiego. Biblia służyła jej jako osłona dla demaskatorskiego pamiętnika, a te westchnienia do Boga... nie powstrzymywały jej od korzystania z pieniędzy zdobytych w sposób niemoralny. Przecież gdyby ona żyła, byłaby pociągnięta do odpowiedzialności za ukrywanie zbrodniczych czynów... — Major przerwał nagle.

—Ustalmy szybko, kiedy ma się odbyć finalne zebranie rodzinki Kiliana, bo ja muszę jechać do Komendy. Powinienem tam być już godzinę temu. — Zbierał w pośpiechu jakieś papiery z biurka i wpychał do aktówki. — Jeśli pana pomysł rozegrania tej sceny da spodziewany efekt, to będzie to ostatnie spotkanie, w przeciwnym razie...

Korcz wstał. — Trudno przewidzieć, jak się to potoczy. Jestem za tym, by nic odkładać tego i poprosić ich choćby zaraz do gabinetu.

— Czy pani Ludwika zechce wstać z łóżka? — zastanowił się major.

— Powinna. Ona również upozorowała próbę zamachu na swoje życic, podobnie jak pani Lidka, ale zupełnie chyżo wyskoczyła przed pół godzina z pościeli, gdy jej zasugerowałem mysz pod kołdrą.

— Ma pan pomysły! — roześmiał się major. — Weźmie pan na siebie jej przybycie?

Korcz pokręcił przecząco głową. — Absolutnie nie. Wyrzuci mnie znowu za drzwi. Znienawidziła mnie całkowicie, czemu się nic dziwię...

— Ma pan rację — zafrasował się major. — Dobrze, ja sam

to załatwię. — Zastanawiał się przez chwilę. — Pójdę do niej, a potem wyskoczę do miasta. Potrwa to wszystko nie dłużej, niż godzinę. Niech pan im powie, żeby za godzinę zebrali się tutaj, w gabinecie.

— Czy musi pan koniecznie teraz jechać? — Korcz nie był zadowolony ze zwłoki.

— Muszę.

— Skoro tak... — powiedział Korcz rozkładając ręce.

— A co? Ma pan tremę? — roześmiał się major.

— Owszem. Mam. Cholernie się boję. że może się ten numer nie udać.

— Bądźmy dobrej myśli — powiedział major pogodnie.

Korcz polecił wszystkim zebrać się o dziesiątej w gabinecie Kiliana, a potem poszedł na spacer w kierunku ruin klasztoru. Nie mógł wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu, wolał poza tym uniknąć indagacji domowników, a zwłaszcza Grybiera.

Po raz pierwszy od paru dni pojawiło się słońce nie przesłonięte chmurami i Korcz pod wpływem pogody i ruchu na świeżym powietrzu poczuł ogarniający go optymizm i nabrał przekonania, że śledztwo musi zakończyć się pomyślnie.

*

Major splótł dłonie na blacie biurka i powiódł po zebranych uważnym spojrzeniem. — Poprosiliśmy tutaj wszystkich państwa, gdyż... — zrobił małą pauzę dla wzmocnieniu efektu swoich słów — porucznik Korcz ma państwu do zakomunikowania pewną rewelację.

— Wykonał zachęcający gest dłonią w kierunku Korcza. — Proszę, kolego, oddaję panu głos. — Z wyraźną ulgą zagłębił się w fotelu.

Korcz wstał z krzesła i nie patrząc na zebranych przeszedł się wolno w jedną stronę pokoju, potem w drugą, by zatrzymać się pośrodku. Pod "ścianami z obu stron biurka

siedzieli członkowie rodziny Kiliana oraz Grybier i Genowefa.

— Przypadek chciał — zaczął cichym głosem — że w pokoju zamordowanej pani Zofii znalazłem rewelacyjny materiał. Przedmiotem tym jest pamiętnik pisany przez zmarłą od kilku lat, aż do ostatniego dnia przed jej gwałtowną śmiercią. Pewnie państwo zadają sobie teraz pytanie, jakim sposobom mogłem znaleźć pamiętnik w jej pokoju, skoro morderca usunął z niego wszystkie rzeczy? Wszyscy wiedzą, gdzie ciało pani Zofii zostało znalezione, i wszyscy również oglądali jej pokój już po jej rzekomym wyjeździe. Chociaż morderca bardzo się starał, żeby wszystkie osobiste rzeczy nieszczęśliwej kobiety usunąć w celu upozorowania jej wyjazdu, zostawił przez roztargnienie jedną rzecz — Biblię. Był to poważny błąd. Ktoś znany z tego, że Biblia stanowiła jego ulubioną lekturę, wyjeżdżając zabrałby ją bezwzględnie ze sobą. Biblia jednak leżała w nocnej szafce. Zastanowiłem się mocno nad tym faktem. Zacząłem Biblię przeglądać, jak się okazało, z nieoczekiwanym rezultatem. Na końcu księgi był wklejony pamiętnik pani Zofii. Pamiętnik zawiera dokładny opis zdarzeń i osób, u których pracowała. Zawiera drobiazgowe opisy dziejów wszystkich mężów jej chlebodawczyni, nie wyłączając ostatniego... Z pamiętnika jasno wyłania się obraz mordercy Kiliana... Wiadomo, z czyjej ręki obawiała się pani Zofia śmierci dla siebie... Starsza pani nazywała w pamiętniku tę osobę Szatanem. Skąd ta nazwa? Brała pod uwagę charakter i wygląd mordercy... Wskazywała na pewną jego anomalię, pewne kalectwo stóp. Mówiąc o jego nogach używała zwrotu „szatańskie kopyta". Po przeczytaniu pamiętnika, po zebraniu danych o obecnych tu osobach, po informacjach zebranych przez pana majora wiemy już, kto jest Szatanem pani Zofii, kto ma „szatańskie kopyta". Dzisiaj rano, zanim państwo tutaj się zeszli, widziałem te stopy. Szatanem jest wbrew nazwie kobieta.

Pani Ludwika pochyliła się do przodu na swoim krześle.

— Ty parszywy szpiclu! — wychrypiała. — Ty psie!

W tym momencie major zerknął w kierunku drzwi. Stał przy nich Matyjasek w całej swej okazałości. Nikt nic zauważył jego wejścia.

— Proszę o spokój! — zagrzmiał major. Ludwika szara na twarzy, z pianą na wykrzywionych wściekłością wargach doskoczyła do Korcza.

— Tak, to ja! — wrzasnęła. — Ja to zrobiłam! Nie wiedziałam, że ta stara idiotka pisała pamiętnik! Kto by ją podejrzewał o coś takiego!

— Ludwiko! — wrzasnęła rozpaczliwie pani Lidka. — To nieprawda! Ona straciła zmysły, panie majorze!

— Proszę o spokój! — powtórzył major uderzając dłonią w biurko.

— Niestety, siostra pani mówi prawdę — rzekł Korcz. — Myślę, że obie panie dobrze zrobią, jeśli przygotują się do wyjazdu — powiedział major łagodnie. — Wprawdzie pogoda nieco się poprawiła, ale mimo wszystko jest zimno i należy ciepło się ubrać.

Obie siostry blade jak upiory wyszły szybko z gabinetu, zanim pozostali zdołali ochłonąć ze zdumienia. Kapral Matyjasek wyszedł również. Grybier był tak wytrącony z równowagi, że nie bacząc na to, gdzie się znajduje, splunął na dywan.

— Nigdy tej cholery nie lubiłem — mruknął i nie wiadomo było, kogo właściwie miał na myśli.

— To one nie wezmą udziału w pogrzebie? — zdziwiła się naiwnie Agnieszka.

Kazio objął ją ramieniem. Albin mrugał powiekami i otwierał usta, jak ryba wyjęta z wody. Policzki mu pałały. Wreszcie zaczął się trząść. Korcz zauważył, co się z nim dzieje.

— Co panu jest? Zachorował pan?

— Przecież jestem chory — powiedział Albin. — Ale nie

mam do pana pretensji o wczorajszą kąpiel.

— Bardzo jestem panu zobowiązany — odrzekł Korcz z przekąsem. Albin wstał z trudem. Rzeczywiście ledwie trzymał się na nogach.

— Chcę panu podziękować — powiedział z przejęciem, podchodząc do Korcza.

— Mnie? Za co? — Korcz oszołomiony uścisnął wyciągniętą prawicę Albina.

— Uratował mi pan życie — wyszeptał starszy pan.

— Ja?

— Tak. Miałem zamiar po roku żałoby ożenić się z Lidką.

KONIEC

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Z KALENDARIUM

4. II. 1950
Wydanie pierwszej w PRL ustawy o ochronie przeciwpożarowej i jej organizacji oraz powołanie Komendy Głównej Straży Pożarnych, komend wojewódzkich i powiatowych. W dniu 13 kwietnia 1960 roku wchodzi w życie nowa ustawa o ochronie przeciwpożarowej — wyraźniej i szerzej precyzująca obowiązki obywateli, a zwłaszcza kierowników zakładów pracy w dziedzinie zabezpieczenia przeciwpożarowego.
W maju 1972 roku Komenda Główna Straży Pożarnych otrzymała sztandar ufundowany przez społeczeństwo województwa katowickiego.

Grudzień 1954
Minister Spraw Wewnętrznych obejmuje nadzór i kierownictwo nad ochroną przeciwpożarową.

1. VII. 1956
Wojska Ochrony Pogranicza na podstawie decyzji Rządu PRL zostają podporządkowane Ministrowi Ohrony Narodowej i wchodzą w skład systemu obrony terytorium kraju.

13. XI. 1956
Wchodzi w życie ustawa o zmianie naczelnych organów administracji publicznej w której czytamy: „Sprawy ochrony ustroju ludowo-demokratycznego ustanowionego w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i interesów Państwa przed wrogą działalnością szpiegowską i terrorystyczną przechodzą do zakresu działania Ministra Spraw Wewnętrznych."

28. XII. 1956
Powołanie Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. W listopadzie 1971 roku Związek został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Maj 1966
Uchwałą Rady Ministrów zostały ustanowione obchody Dnia Strażaka. Dzień ten obchodzi się w pierwszą niedzielę po 15 maja każdego roku.

Maj 1968
Odzyskanie przez organa Milicji Obywatelskiej bezcennych skarbów kultury narodowej skradzionych w dniu 26 sierpnia 1965 roku z Muzeum Zamku w Lidzbarku Warmińskim. Minister Kultury i Sztuki złożył na ręce kierownictwa KG MO specjalne podziękowanie.

Wrzesień 1971
Powołanie Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej. Od 1955 roku istniała trzyletnia Oficerska Szkoła Pożarnicza powstała na bazie Centralnego Ośrodka Wyszkolenia Pożarniczego.

CENA ZŁ 6.–